

marcin pieczynski

W POWOJNIU, CHOĆ JUŻ PRZY WYJŚCIU JAKBY: PAMIĄTKA Z EUROPY

Jesteś *zdrów*, póki wierzysz w filozofię;
gdy jednak zaczynasz *myśleć*, pojawia się choroba.

Emile M. Cioran

Did you have a good world when you died?
Enough to base a movie on?

Jim Morrison

Arbeit macht frei – pozwoliłem sobie na cokolwiek makabryczny żart w tej i tak już nie-fajnej dla niego sytuacji.

No i obraził się na mnie. A przynajmniej udał obrażonego: znowu ten niemiecki – cholerny! I co się go znowu czepiam, to nie jego wina, że nauczycielka na niego się uwzięła. Nauczyć nie umiała, a teraz to on ma poprawkę – jakby to była jego wina, że nauczycielka niemota.

Czyli historia stara jak świat. Uczeń niewinny, nauczycielka winna. Można by rzec: nihil novi sub sole... Choć może lepiej było tego nie robić, żeby jeszcze bardziej się nie obraził: że się do niego znowu „coś jakby po niemiecku mówi". A tu jest Polska – przecież!

– A co to znaczy – zapytałem – wiesz przynajmniej... rozumiesz?

– No, niby... – zaczął odpowiadać niechętnie, specjalnie zwlekając z każdym słowem, jakby nie chciał się przyznać, że jednak... coś wie. – Że niby praca... robi... wolnym. – Po czym dodał dość szybko, żeby było widać, że nie tylko poszczególne słowa zrozumiał, ale także ogólny sens tego zdania: – Znaczy: człowieka – robi wolnym, wyzwala jakby...

Czyli wcale aż tak beznadziejnie z tym niemieckim nie było – u niego.

– Więc teraz będziesz musiał wziąć się do roboty: żeby być wolnym. Nauczysz się, zdasz tę cholerną poprawkę i już: masz wakacje! – powiedziałem. I powtórzyłem, jak hasło do ataku: – Arbeit macht frei!

– A wiesz, ile oni mają czasowników... nieregularnych, bez sensu! I tego też mam się uczyć... po co?

– Arbeit macht frei... – Jeszcze raz powtórzyłem, nagle zdziwiony i zaskoczony tym, co... całkiem znienacka przyszło mi na myśl: „Ale nie, to chyba niemożliwe..." – A poza tym, te słowa... – spytałem, jakby niepewny, czy na pewno ciekawy jestem jego odpowiedzi na to pytanie – nic więcej ci nie mówią, całkiem... nic?

– A co mają mówić? – wzruszył ramionami. – Niemiecki jak niemiecki...

– Znaczy się – westchnąłem jakby z ulgą – wojna wreszcie naprawdę się skończyła.

– Jaka wojna...? – Teraz z kolei to on nie rozumiał.

– Czyli umarła... w niepamięci – dodałem. – Na śmierć!

– Jaka znowu wojna... o czym ty gadasz? Że niby co...?

– Nie wiesz – zapytałem z niedowierzaniem – że taki napis był nad bramą obozu w Auschwitz: Arbeit macht frei? Naprawdę... nie wiesz? Nie wierzę! – prawie krzyknąłem. – Zresztą – dodałem chyba niepotrzebnie i tylko, jak to się mówi, dla ścisłości – jest tam do dzisiaj...

– No i co z tego? – odpowiedział mi pytaniem. – A nawet jeśli, to...?

No i załatwił mnie, pokonał, położył na deski. Poddałem się.

– Nic. – Machnąłem ręką, zrezygnowany (i trochę smutny swoją drogą: „Coś takiego..."). – Tak tylko... zapytałem – z ciekawości. I pewnie niepotrzebnie. Bo ty w końcu poprawkę z niemieckiego masz, a nie z historii.

– No!

***

Gdybym opowiedział tę anegdotę Łukaszowi, pomyślałem, mogłoby mu się to spodobać. Bo pasowałoby to do tych kilku historyjek, które on miał już w swojej kolekcji. A kilka ich miał, jak na przykład tę o swojej (dość późnej – bo wcześniej jakoś mu „się nie zdarzyło") pierwszej wizycie w tym dziwnym miejscu, jakim – już tyle lat po wojnie! – jest obóz-i-muzeum

w Auschwitz, jako miejsce do zwiedzania, gdzie zobaczył wycieczkę zorganizowaną młodzieży z Izraela…

– Wszystko mieli świetnie przygotowane pod względem logistyczno-wizerunkowym – opowiadał potem, uśmiechając się przy tym dziwnie, tak dziwnie, że uśmiech ten można by uznać za niemal… Zresztą, mniejsza o to, jak można by ten dziwny uśmiech zinterpretować (i osądzić!). – Bo nie tylko flagi mieli ze sobą, duże i z daleka widoczne, które nieśli zarzucone na ramiona, żeby było widać wyraźnie, że oni są tu gośćmi jakby specjalnego znaczenia, ale także całe zestawy żywieniowe, jak w samolotach, oznakowane Logo swojego tutaj pojawienia się, jako „żywy znak pamięci". Więc zafoliowane bułki, masło w miniaturowych, jedno-porcjowych dawkach, i tak dalej – każdy z nich niósł swój przydział w reklamówce, na której też oczywiście było wielkie Logo ich wspólnej wycieczki-i-marszu. Turystyka naprawdę świetnie zorganizowana. I dobrze – bo niby czemu nie mogłoby to właśnie tak wyglądać? A jednak… – Tu przerwał na chwilę, dając w ten sposób sygnał, że teraz dopiero będzie to, co najważniejsze. – A jednak dziwnie mi się zrobiło, gdy doszedłem do ruin jednego z krematoriów w Birkenau i tam, w betonowej jakby cembrowinie studni, która stanowiła jeden z elementów tych ruin, a która, jak się okazało, jako stojąca nieco z brzegu całej tej ruiny-pomnika mogła łatwo zostać potraktowana jako niby-śmietnik, zauważyłem… wyrzuconą, niedojedzoną bułkę – owiniętą w folię z tym Logo. Inną rzeczą, trzeba przyznać, jest to, że nie było tam… żadnych oficjalnych koszy na śmieci. Ale nawet gdyby były… Chleb tak po prostu wyrzucony do śmieci – w takim miejscu! – i to… akurat przez nich? – Zrobił głupią minę. – Jak to się mówi: trudny temat.

– Gówniarzeria po prostu… – spróbowałem zlekceważyć sprawę. – I pewnie nawet nie pomyślał jeden z drugim…

– Może i racja – jakby przyznał mi rację. – Ale musisz uważać na to, w jaki sposób to mówisz, jakim tonem! I że tak powiem: na jaką melodię. Bo łatwo może ci ktoś zarzucić, że jest to melodia… no właśnie: antysemicka może? I kolejną awanturę mamy znowu gotową. Dlatego, tak myślę, najlepszym wyjściem jest, niestety… może nie mówić o tym wcale. Jakby tego faktu – bo to był fakt, po prostu – nie było. Zresztą, powiedz sam, kto chciałby o tym jakiś tekst, w jakiej gazecie zgodziliby się to wydrukować inaczej niż jako kolejny tekst… o politycz-

nym znaczenia: jako argument „za" albo „przeciw" jakiejś, jak to się dzisiaj niby mądrzej nazywa, narracji, a w sumie – opcji politycznej: komu może to dostarczyć politycznej amunicji? – Z jego twarzy zniknął ten dziwny uśmiech, z którym zaczynał swoją opowieść. I jakby posmutniały mu oczy. – Ale ja to widziałem... – powiedział cicho. – Na własne oczy. I co – co mam teraz z tym zrobić?

– Może nie każdy fakt jest wart od razu opowieści... – powiedziałem, nie bardzo jednak przekonany, że to mu jakoś pomoże.

– A co ma zrobić ten, który akurat takie fakty... zauważa jakby bardziej?

Wzruszyłem ramionami: – Nie wiem.

– I może tej niewiedzy się trzymajmy! – Udał nagle wesołego. I dodał: – Bo niewiedza ma naprawdę wspaniałą przyszłość, może. – Pokiwał głową z aprobatą. – Ta-ak. A jeśli do tego jeszcze będzie ona w odpowiednio mądrze brzmiące słowa opakowana – to dopiero, nie?

– Nie? – Nie wiem, czy zgodziłem się z nim, czy nie: też udałem głupiego.

– Ale... przyznam ci się – dodał już poważniejszym tonem – w pierwszym odruchu zareagowałem, no tak: właściwie antysemicko! Jakby wszyscy Żydzi całego świata mnie właśnie zdenerwowali – osobiście! Czyli, mówiąc naukowo, uogólniłem pojedynczy przypadek. I to też – ale dopiero potem, nie od razu – mnie wkurzyło. Czyli tak czy owak, zawsze źle.

– Tak, jak powiedziałeś: trudny temat... – powiedziałem. I chyba nie chciałem o tym więcej mówić. Bo i po co? Co dobrego mogłoby wyniknąć z takiego gadania!

– Albo inaczej: trudny fakt – on mi na to. I dodał, niepotrzebnie i raczej bez sensu; chyba bardziej po to tylko, żeby powiedzieć... cokolwiek: – A trudne fakty, jak wiadomo, nie są łatwe.

– No... takie... życie.

– Fakt.

I w ten sposób udało nam się jakoś uniknąć bardziej ogólnych wniosków.

– A myślisz, że z Niemcami mam łatwiej? – niby zapytał, przechodząc gładko do kolejnej opowieści. Chyba na podobny temat. Mówił, jakby opowiadał coś, co jemu wcale nie wy-

daje się śmieszne, tylko innym: że takie coś go spotyka. – Wcale nie! Ci też potrafią mi działać na nerwy. Jakby się uwzięli na mnie. Wystarczy tylko, że cierpliwie poczekam a... uważnie będę tropił w tych niby nieważnych opowieściach o byle czym, czyli o codziennym życiu, o jego małych, ale przecież i tak widocznie wartych zachodu przyjemnościach, jakie można, a może nawet trzeba umieć w nim znaleźć, ale też i o nie-fajnych sytuacjach, z których jednak często całkiem łatwo się wylogować – w razie czego.

– Czyli... ty polujesz na ich winy, tak? – zapytałem.

Roześmiał się, ale nie wesoło: – No, trochę chyba... jakby tak. Ale oni – dodał, jakby tytułem usprawiedliwienia – jakby mnie do tego zmuszają, no!

– I co... upolowałeś coś, ostatnio?

Uśmiechnął się, jakby sobie przypomniał nagle coś, co lepiej żeby nie było na temat, a jednak.

– Tak się zachowują – powiedział – jakby się chcieli za chwilę zaczynać. Jak ponoć powiedziałem kiedyś w przedszkolu, gdy mnie, już po wszystkim, pytano, dlaczego uderzyłem tego chłopca, chociaż on przecież nic takiego mi nie zrobił: „Bo tak wyglądał, jakby się chciał za chwilę zaczynać". – Po czym przeszedł do odpowiedzi na moje pytanie. – Ostatnio – powiedział – to może nie, ale jeśli chcesz, to mam taki jeden fakt... Zresztą trochę podobny do tego z młodymi Żydami. Też z Auschwitz.

– To chyba dobre miejsce do polowań – wszedłem mu w słowo – dla ciebie, to Auschwitz.

– Bo tam zwiedzanie – powiedział – może też na tym polegać, że oglądasz nie tylko to, co w gablotach wystawiono na pokaz, ale że patrzysz też na to, jak inni na to patrzą, jak się zachowują. Tak jak było z tymi, że tak powiem: moimi Żydami...

– No, ale Niemcy. Teraz miało być o twoich, ale Niemcach. Więc co ci twoi Niemcy...?

– No więc, moi Niemcy – już mówię – to była jedna dziewczyna. Niemka z urodzenia niby najprawdziwsza, chociaż... jednak trochę z przypadku też! Bo gdyby się wojna inaczej skończyła i w Polsce po tej wojnie nie byłoby tak, jak było, raczej nie jako Niemka by się urodziła. O czym ona sama może zresztą nie mieć pojęcia, a nawet jeśli jakieś pojęcie niby ma, bo przecież wie, kim była k i e d y ś jej mama, to na

niej samej chyba nie robi to już większego wrażenia i nie zastanawia się nad tym może wcale, bo na takie myślenie to po prostu szkoda jej czasu. A wojna, lub jak to się coraz częściej mówi: „tamta wojna" – to już jakby całkiem nie jej sprawa! Jej mama zresztą... jest podobnego zdania. Przynajmniej gdy ją o to spytałem, tak mi powiedziała: „Ale ta wojna była przecież już tak dawno temu...", jakby nie trzeba już o tym mówić: nie ma po co. Typowo niemiecka, można powiedzieć, odpowiedź: no tak, rzeczywiście, coś tam złego się kiedyś działo i Niemcy rzeczywiście, byli w to jakoś zamieszani, ale teraz, po latach, już jest całkiem inaczej... i tak dalej i tak dalej, byle dalej – od „tamtej wojny". Trudny temat, jak to mówią. Ale już nie dzisiejszy przecież, bo dziś – już nie ma wojny. Więc po co psuć sobie tym humor. Taki ładny dzień dzisiaj mamy i w ogóle...

Przerwał na chwilę, jakby zastanawiał się nad czymś. I znowu się uśmiechnął.

– Ale tego wszystkiego – powiedział – to już mi aż tak dosłownie nie powiedziała. Ale „wyglądała tak, jakby właśnie tak o tym myślała", albo... jakby tak właśnie chciała o tym myśleć. Lub jeszcze inaczej: jakby chciała, żeby... wszyscy o tym tak właśnie myśleli: i żeby dać już tym Niemcom spokój, a to znaczy – także jej. Bo ona, jak sama powiedziała: „bo chciała, żeby było jej lepiej", znalazła w rodzinie jakiś „niemiecki motyw" – że jakaś tam volkslista podczas wojny była, czy że ktoś wtedy gdzieś coś z jakimiś Niemcami, albo tylko z jednym Niemcem, razem (o tym mi nie opowiedziała za dokładnie) – i na tej podstawie „sama się wysiedliła", jadąc w nieznane. Czyli wyjechała stąd, gdzie było jej raczej kiepsko, do Niemiec, żeby tam żyć lepiej. To było pod koniec lat osiemdziesiątych, jak to się dziś mówi: ubiegłego wieku (bo wtedy, to są jej słowa, „jeszcze przyjmowali"). Na miejscu, gdy już tam dotarła, najpierw musiała swoją niemieckość jakoś udokumentować, a potem siedziała przez jakiś czas w jakimś obozie „dla przesiedleńców" (o czym opowiedziała mi też nie za wiele, na początku gdyśmy się spotkali, i to też tylko dlatego, że dopytywałem ją o to, ale później – już nie chciała do tego wracać). Wreszcie jednak wyszła stamtąd i już: mogła zacząć żyć nowym życiem. I zaczęła. A niedługo potem, już jako Niemka z papierami... urodziła córkę, tę właśnie Niemkę z urodzenia niby najprawdziwszą,

chociaż... trochę jednak z przypadku – też. Bo gdyby wojna się inaczej skończyła... – Udał, jakby sam złapał się na swoim roztargnieniu: – Ale to... już chyba mówiłem, nie?

– No tak – przytaknąłem mu. – Ale do Auschwitz stąd ciągle jeszcze dość daleko... w tym, co opowiadasz.

– A-Auschwitz, no tak: już! – Więc mówię. – Podczas kolejnego pobytu tutaj, czyli dla niej właściwie „w zagranicy", u dziadków, w których widocznie mniej było niemieckości niż w ich córce (a matce tej dziewczyny) i którzy po polsku mieszkali od zawsze w Polsce, najpierw tej „ludowej", a potem tej „w końcu wolnej" i już jakoby całkiem innej, ktoś wymyślił, żeby może – dla odmiany, żeby nie siedzieć wciąż w jednym miejscu, bo to trochę nudne jest – zrobić sobie wycieczkę gdzieś... A wycieczka, wiadomo – fajna rzecz: można coś nowego zobaczyć – żeby było fajnie. I pojechali. Na wycieczkę – do Auschwitz!

– Czyli, można powiedzieć, trochę jakby... do siebie: „Śladami kultury germańskiej za granicą" – próbowałem żartować, dość kiepsko. – Żeby zobaczyć „z czego Niemcy znani są za granicą"...

– A ja – przerwał mi – gdy się o tym dowiedziałem, byłem bardzo zadowolony. I prawie dumny z dziewczyny. Że się na taką próbę odważyła! Bo dla Niemca to na pewno nie jest łatwa rzecz, a już na pewno fajna – przejść przez tę bramę: Arbeit macht frei. I powiem ci, że tak ją podziwiałem za tę odwagę, której, przyznaję, nie spodziewałem się po niej – że się na coś takiego odważy! – jak sam... nie chciałbym być na jej miejscu. No bo kto by chciał, powiedz. Kto chciałby być dwudziestoletnim Niemcem w Auschwitz, które, mimo że „tamta wojna była tak dawno temu", wciąż stoi i jako dowód rzeczowy może robić także dzisiejszym Niemcom... no – przykrość przede wszystkim?

– No i...?

– Poradziła sobie z tym łatwiej, niż mogłem przypuszczać. Ledwie tam weszli, uznała, że dzisiaj „jest jednak za gorąco na takie chodzenie na słońcu" i żeby może lepiej pojechali do galerii handlowej w mieście: tam jest klimatyzacja. – Rozłożył bezradnie ramiona, jakby rzeczywiście bezsilny wobec siły tej argumentacji. Po czym dodał: – Bo upał wtedy, jak mi powiedziała jej mama, która mi o tym opowiadała, był rzeczywiście... trudny do wytrzymania. I nie żeby ktoś tam przed

jakąś odpowiedzialnością uciekał, czy coś takiego, po prostu za gorąco – było.

– Ale – zauważyłem – jakby kto pytał, to w Auschwitz... była, nie? Ma zaliczone. I przynajmniej to jedno na pewno zauważyła, że nad wejściem do tego obozu... po niemiecku jest napisane: Arbeit macht frei.

– Zaliczone tak, ale czy... jak to mówią: przepracowane? Obawiam się, że wątpię...

– A może za poważnie do tego podchodzisz, po prostu? I przesadzasz...

– Otóż to! – prawie wykrzyknął, udając jakby naprawdę chciał się zgodzić z moją propozycją, z którą, jak zresztą mógł przypuszczać, nawet ja sam się nie zgadzałem... tak na poważnie. – Za poważnie! A w końcu ani wycieczki, ani muzea nie po to są, żeby człowieka narażać na... za poważne myśli. Bez przesady!

I wtedy opowiedziałem mu o tej nieszczęsnej poprawce z niemieckiego, o której rozmawiałem z młodym – Polakiem.

– I on – podkreśliłem – nie miał nawet, jako Polak, do tego stosunku... patriotycznego, że tak powiem: że to język Hitlera i dlatego nie będzie się go uczył – za to, co oni nam zrobili! On po prostu uważał to za głupie i niepotrzebne – że „każą mu się tego języka uczyć". A zdanie „Arbeit macht frei" nie powiedziało mu nic więcej, tylko tyle że... to po niemiecku.

– Ale – zacząłem po chwili – co innego mnie interesuje w tej twojej opowieści. Skąd ty znasz tę... mamę? I co to za historia – w twoim życiu?

– No właśnie... – westchnął.

***

Lena, gdy w 1989 roku decydowała się na wyjazd do Niemiec, już jako dorosła kobieta (a w każdym razie przeszło dwudziestoletnia osoba, która w życiu już trochę przeszła), z pewnością nie do końca wiedziała (bo niby skąd miałaby mieć tę wiedzę – wtedy), na co się decyduje i co ją może spotkać jako skutek tej decyzji, i może nie wiedziała również i tego, że... decyduje się aż tak – nieodwołalnie. Że od tej decyzji, innymi słowy, niemal natychmiast... nie będzie już żadnej możliwości odwołania ani ewentualnej renegocjacji warunków raz podjętej decyzji.

Zresztą, wtedy nie miała głowy do takich rozmyślań – filozoficznych. Za dużo nowego było wszędzie naokoło i za bardzo pilna była potrzeba wejścia w to wszystko w miarę możliwości jak najbardziej bezboleśnie – i jak najszybciej. A wikłanie się w rozmyślania za daleko idące (i wątpliwości, które mogłyby z tego wyniknąć), które odrywałyby ją od tego co „tylko tu i teraz" (a tylko to było wtedy naprawdę ważne!) – na pewno nie byłoby w tym pomocne.

I tak oto rzuciła się Lena (może nawet nie wiedząc, co robi) w teraźniejszość. A żeby zrobić to możliwie jak najskuteczniej, musiała niejako unieważnić dotychczasową swoją przeszłość (przynajmniej deklaratywnie, bo przecież faktycznie i całkiem zapomnieć jej nie mogła), jakby to była odtąd nie całkiem naprawdę jej przeszłość i jakby jej dotychczasowe życie, takie jakie było, wydarzyło się „tylko na próbę" i – niewiążąco.

Zresztą, przecież głównie od tej przeszłości – gdy decydowała się na wyjazd tu – chciała uciec. A tu – miało jej być lepiej.

Lena podeszła do sprawy bardzo życiowo. Chciała odmienić swój los i odważyła się uwierzyć, że to jest możliwe, a ona – ma na to dość siły. Chciała być dzielna i – była taka.

I, trzeba przyznać, prawie jej się udało. A przynajmniej na to mogło wyglądać. Po odbyciu kwarantanny w obozie przejściowym (gdzie raczej nikt nie wnikał w to zbyt filozoficznie, na czym polegać ma to przejście – i właściwie „od czego do czego"; a może nawet nie wnikał wcale), weszła w normalne codzienne życie, poszła do pracy, a wkrótce potem – czego chcieć więcej: na jej drodze stanął ten, który, jak sama potem mówiła, „ją wybrał"! A ona uznała, że on mógłby być ojcem jej dzieci. Urodziła dziecko, wyszła za mąż...

I mogła mówić, że udało się. I mogło jej się tak naprawdę wydawać. A tym bardziej mogło tak się wydawać tym, których odwiedzała tu – od święta i tylko na kilka dni – gdy przyjeżdżała własnym samochodem (na niemieckich blachach!) i opowiadała o swoim życiu „bardziej konkretnie": że już niedługo nie będą mieszkać w mieszkaniu socjalnym, bo... zaczęli już budować własny dom! Wprawdzie na kredyt, ale jednak. Tak czy owak, w końcu będą mieszkać u siebie! I zadomowią się – na dobre. Wszystko więc wyglądało dobrze, a na pewno nieźle.

Rok za rokiem płynęły niemieckie lata jej życia (na świat przyszły kolejne jej dzieci).

W atmosferze codziennego tu-i-teraz przesypywały się cicho ziarenka czasu.

A jeśli zdarzyło się czasem coś przykrego, tak bardzo, że nie umiała pohamować łez cisnących się jej do oczu, miała na szczęście przy sobie pociechę w postaci córki, która wtedy powiedziała jej („i to było takie mądre!"):

– Ale to nic, mamo. Popatrz, jak tu jest pięknie! Jakie piękne niebo i plaża…

I szły dalej tą plażą, a wiatr suszył jej łzy. Aż znowu umiała się uśmiechnąć: – Tak, rzeczywiście, pięknie…

Tymczasem gdzieś z boku jej najprawdziwszego życia, bo tego codziennego, działy się w wielkiej polityce coraz większe rzeczy: świat się zmieniał – coraz bardziej. To, co jeszcze niedawno wydawać by się mogło nie do pomyślenia, stawało się nagle faktem. Polska, z której wyjechała, przestała być nagle miejscem przeklętym przez zły los – aż przyjęto ją wreszcie do Unii Europejskiej, gdzie odtąd miała być tak samo jak Niemcy (choć, wiadomo, nie od razu tak samo dobrze – ale jednak). A wobec tego Leny niegdysiejszy wyjazd z Polski „w jedną stronę i na zawsze" mógł nabrać charakteru jakby tylko „zwykłej przeprowadzki" bez większego znaczenia: – Bo teraz w końcu wszyscy jesteśmy w jednej Europie i nie ma już granic, tak jak kiedyś były! I wszyscy jesteśmy Europejczykami.

I coraz bardziej rozwijał się internet…

***

– Razem zaczynaliśmy studia – powiedział Łukasz. – Dawno temu, jeszcze w ubiegłym wieku, jak to się teraz mówi. I w innym świecie, bo, jak to się dziś mówi, jeszcze „za komuny". Ale tylko rok była, albo nawet nie… Ktoś potem mówił coś, że ponoć do Efu wyjechała, znaczy: do Niemiec. Ale, mówiąc szczerze, mało kogo to obchodziło – wtedy. Była Lena, nie ma Leny. Bo też większe rzeczy się wtedy zaczęły – dziać. Gdyśmy studia rozpoczynali, jeszcze było syfiato, ale stabilnie, aż tu nagle, właściwie znienacka jakby – zaczęło się! Komuna padała – i działo się wtedy, codziennie coś! Najpierw wybory u nas, potem mur w Berlinie rozwalili, w Rumunii krew – i tak dalej. A myśmy mieli po dwadzieścia lat!

– Ale to już prehistoria powoli – przerwałem mu, żeby nie zaczął mi teraz szczegółowo całej historii opowiadać i tego, jak on ją widział i przeżywał. Bo chodziło mi o Lenę, a ona w tej opowieści... już była i znikła. – Dawno temu i nieprawda, jak to mówią. A i tam, dawno-dawno temu Lena... pojawia się tylko na moment, i to nie na pierwszym planie zresztą, i znika. Więc...?

– Bo też wtedy – przytaknął mi Łukasz – tak właśnie było: znikła! Bo jak ktoś do Efu wyjeżdżał, to tak jakby zniknął: był człowiek, nie ma człowieka. Bo stamtąd – z Niemiec, jeśli ktoś zdecydował się tam wyjechać i zostać, czyli „zostać Niemcem" – już nie było powrotu. Trochę jakby to było samobójstwo, przynajmniej takie do połowy. Bo wprawdzie człowiek niby przeżył, bo nie umarł tak naprawdę i do końca, i może nawet lepiej mu się potem żyło tam, w Niemcach, ale tu – przestawał być, i to na amen. Tak że w zasadzie nie było już o czym gadać. Może poza tym, że się powiedziało o kimś takim: uciekł. A to „uciekł" brzmiało tak, jakby to było najgorsze zaprzeczenie chwalebnego „poległ na polu chwały".

Nie musiał mi tego szczegółowo tłumaczyć. Wiedziałem, o czym mówi. Bo choć, podobnie jak on, urodziłem się prawie ćwierć wieku po oficjalnym zakończeniu wojny, to bardzo szybko, czyli gdy tylko przestałem być całkiem małym dzieckiem, wiedziałem, że urodziłem się w mieście... no, właśnie: poniemieckim. Gdzie nie tylko budynki były poniemieckie, a gdzieniegdzie można było nawet jakieś napisy na tych budynkach znaleźć po niemiecku, ale także „coś takiego", co jednak trudno by mi było określić i precyzyjnie nazwać – jakby wisiało w powietrzu. I choć niby wszyscy w tym mieście byliśmy Polakami, co rusz ktoś nagle „wyjeżdżał" i dopiero wtedy okazywało się, że on „też" – też znalazł u siebie jakieś niemieckie papiery i... uciekł.

Dlatego akurat mnie nie musiał tego szczegółowo tłumaczyć. A jeśli spodobało mi się to, co powiedział, to przede wszystkim dlatego, że było potwierdzeniem tego, co i jak ja sam o tym myślałem. Oraz ze względu na ostatnie zdanie. Bo w nim jakby zawarł, nie wiem, czy do końca świadomie (ale o to mniejsza), klucz do zrozumienia istoty sprawy. A tym kluczem był fakt, że... no, właśnie: że jeśli mówiło się o tym (i myślało) w kategoriach „wojennych" – gdzie „ucieczka" znaczyła w najlepszym razie tyle co tchórzostwo lub dezercja,

i jako taka była czymś oczywiście złym, i jeśli nawet nie od razu haniebnym, to co najmniej wstydliwym, zupełnie inaczej niż chwalebna „śmierć na polu chwały" – to znaczyło, że ta wojna... wcale się jeszcze tak do końca nie skończyła. A w tych warunkach „przejście na stronę Niemców", było, mówiąc całkiem wprost i bez owijania w bawełnę – zdradą, po prostu. I to taką, że większej od niej być nie mogło.

Bo naszym, czyli Polaków wrogiem w tej wojnie byli przecież właśnie oni – Niemcy. To oni na nas napadli, oni do nas strzelali, oni nas mordowali, oni nas chcieli wykończyć!, oni... te świnie! To oni nas tak potraktowali – jakbyśmy byli bydłem jakimś. Ale myśmy się nie dali! My...

Bo co do tego, że jestem Polakiem, nie miałem żadnych, nawet najmniejszych wątpliwości – nigdy. I chyba nawet gdybym chciał, nie umiałbym sobie wyobrazić, że mogłoby być inaczej – ze mną. Taki po prostu się urodziłem.

– Dawno i nieprawda... – Łukasz jakby specjalnie akurat te moje słowa sobie wybrał, żeby poobracać je i obejrzeć ze wszystkich możliwych stron. Chociaż ja, gdy to mówiłem, przecież nic specjalnego nie miałem na myśli. – No, właśnie – westchnął. – Jeśli coś nawet było, ale było dość dawno temu, i w dodatku jeszcze nie wydarzyło się wtedy za bardzo, nie ma sensu traktować tego zbyt poważnie: bo nas to przecież już nie dotyczy. I dlatego tak się mówi: „to było dawno i nieprawda". I żyje się dalej, jak gdyby nigdy nic... aż tu nagle – łup! I dostajesz w łeb, znienacka – i jakby gdzieś bardzo od tyłu. I wtedy nagle robisz się cały głupi i nie wiesz: co się dzieje – o co chodzi?

– Ale co z tą Leną? – Nie chciałem, żeby Łukasz uciekał w jakieś zbyt ogólne teorie. – O Lenie miało być...

– No, przecież o tym właśnie mówię! – Łukasz na to. – I nagle – łup! Dostajesz w łeb, gdzieś bardzo od tyłu, z daleka i... jakby to wcale nie było aż tak dawno temu. – Uśmiechnął się. – Właśnie tak było z Leną. Nagle okazało się, że wcale nie „była i znikła", ale że wciąż... jest! Odezwała się, z daleka, z przeszłości – przez internet. Czyli nie wiadomo skąd – nagle znowu jakby była. Już jej od dawna nie było i proszę – znowu jest, jak nowa! I nagle czas jakby zwariował. I to, co było, jakby bardziej jest, a to co jest – jakby już nie było najbardziej.

– Czyli Facebook, tak? – zapytałem, a może bardziej stwierdziłem.

– Wtedy jeszcze Facebooka nie było. – Łukasz znowu się uśmiechnął. – Pewnie są już dziś tacy, którzy w to nie uwierzą, ale były jeszcze takie czasy: że był już internet, coraz bardziej, ale nie było jeszcze Facebooka. Ale była już Nasza-klasa. Która, mówiąc językiem biblijnym i ze względu na to, jak potem zmienił się świat, jako portal społecznościowy okazała się w stosunku do Facebooka być tym, kim był Jan Chrzciciel w stosunku do Jezusa.

– No, bez przesady! – Udałem zgorszonego tym, co słyszę. – Aż tak, to może jednak... za bardzo, co?

– No, może... trochę. Zresztą, mniejsza o to – machnął lekceważąco ręką. – W każdym razie, skoro „wszyscy to robili", ja też założyłem sobie tam konto. Właściwie nie wiem, po co. I wtedy, jak mi się dziś wydaje, niemal natychmiast dostałem tę wiadomość i zapytanie, podwójne zresztą: „Lublin...? Filozofia...?" Dwa słowa, jakby niepewne – i dwa znaki zapytania! Sprawdziłem, kto jest nadawcą. Rzeczywiście – z Niemiec. I imię – też się zgadza. Nazwisko wprawdzie inne, ale to, jak wiadomo, zdarza się – dziewczynom. No i – zaczęło się! Jakby w ogóle nie minęło dwadzieścia lat od czasu, gdy widziałem ją po raz ostatni – w całkiem innych czasach i w innym świecie. I zobaczyłem, jak idziemy z uczelni do naszych stancji, mieszkaliśmy, jak się okazało, całkiem niedaleko od siebie, i po drodze opowiadam jej... „Fedona". Bo tego Platona (albo „Ucztę" – do wyboru) mieliśmy przeczytać na nasze pierwsze poważne, bo już całkiem studenckie!, zaliczenie. A wtedy miałem jeszcze dość sprawną i pojemną pamięć: właściwie jakbym czytał jej to z pamięci. Mieszkaliśmy dość daleko od centrum, wystarczająco daleko, żeby po drodze opowiedzieć wszystko – o czym mowa jest w tym „Fedonie". Dziś nie pamiętam już właściwie nic z tego tekstu. Ale okazało się, że wciąż pamiętam, prawie czuję to na własnej skórze, że był wtedy już wieczór, lekko mżyło i było już prawie zimno; to musiało być jakoś pod koniec października, a może już w listopadzie. A Lena – miała blond włosy, przycięte równo przy karku i... stawiała stopy lekko do środka, co jednak nie dawało wrażenia, jakby miała po prostu krzywe nogi, ale jakby... w ten sposób wyłaziła na wierzch jej ciała nieśmiałość jej duszy. I właśnie o tym napisałem jej w pierwszym liście po latach: że opowiadałem jej „Fedona", padał nieśmiały deszcz, a ona – stawiała stopy lekko do środka. A potem zapytałem,

jak jej się żyje. Bo naprawdę byłem tego ciekawy: jak jej się żyje – w tych Niemcach? I jako Niemce, w końcu – było nie było. I jak to jest, zapytałem, odpowiadając pozytywnie na jej list (to znaczy: tak – Lublin, tak – filozofia), bo „to przecież jak zmiana płci", dokładnie takiego porównania użyłem: być najpierw Polką, a potem – Niemką?

– I co odpowiedziała?

– Na to moje pytanie – nic. Czyli ani słowa o zmianie płci. Ale za to o naszym spacerze (tak to nazwała: to nasze podróżowanie piechotą, przez lekki deszcz, przypadkowo wspólne – każdy do siebie), napisała, że „też to bardzo dobrze pamięta". Dodała jednak, jakby dla ścisłości: „Chociaż to nie był „Fedon", tylko „Uczta". Ale tak, tak było: opowiadałeś mi to..."

Łukasz przerwał na chwilę. Chyba żeby w ten sposób zaznaczyć, że to, co za chwilę powie, bo widać było, że wcale nie skończył, będzie miało specjalne znaczenie, jako coś bardzo ważnego.

– Ale ja jestem pewien, że to był „Fedon" – powiedział z naciskiem. – Na sto procent! I to zresztą napisałem jej w pierwszych słowach mojego kolejnego do niej listu, który wysłałem niemal natychmiast. – Uniósł palec, w geście jakby nauczycielskim, żeby zwrócić moją uwagę na to, co zaraz powie: bo to ciekawostka będzie! – Bo wtedy jeszcze pisałem do niej... jakby najprawdziwsze listy. Czyli takie, jak się kiedyś pisało na papierze i wysyłało w kopercie. Nie kilka słów, ale całe zdania – i jakby małe opowieści. Z powitaniem na początku i pozdrowieniami oraz podpisem na końcu. Tyle tylko, że zamiast do koperty, wkładałem je – do internetu. Ale po wysłaniu czekałem na odpowiedź też jeszcze „według starego zwyczaju", wiedząc, że „przecież musi minąć trochę czasu", zanim dostanę odpowiedź, dlatego wielkim zaskoczeniem, i bardzo, bardzo miłym, było dla mnie to, że kolejny list dostałem od niej... niemal natychmiast!

Popukał się w czoło, jakby chciał komuś pokazać, że to trochę głupie, co mówi. I jak się okazało, gest ten – zaadresował do samego siebie.

– I wiesz, jaki ja z tego wyciągnąłem wniosek, i to od razu – oraz z największą przyjemnością? Że widocznie to jest dla niej aż tak ważne, to pisanie do mnie, że tak jej zależy na tym, żeby nie tracić czasu i dlatego... tak szybko przyszła od

niej odpowiedź na mój kolejny list. Innymi słowy, jakby powiedziała „temu Internetowi", że w tym wypadku sprawa jest naprawdę ważna i w ten sposób skłoniła go, znaczy „tego Interneta", jako posłańca z listem do mnie, do wyjątkowego pośpiechu. Naprawdę tak pomyślałem. A właściwie to jakby s a m o m i s i ę p o m y ś l a ł o. I zaraz sam się zaśmiałem z tego: że coś takiego mogło mi w ogóle przyjść do głowy i udawać… moją własną myśl.

– A to wcale nie była myśl – teraz to ja popukałem się w czoło – tylko… uczucie, głupku, prawda? Albo chęć. Coś nie całkiem z rozumu tylko, w każdym razie.

– Ale wtedy jeszcze tego nie wiedziałem. – Łukasz jakby tylko do połowy przyznał mi rację. I jakby szukał dla siebie jeszcze jakiegoś usprawiedliwienia.

– Bo ci jeszcze tego…nie powiedzieli, tak? – zadrwiłem łagodnie. I natychmiast, jakby wyciągając rękę do zgody, dodałem: – Ale nie martw się, chłopcy tak mają – dość często. I to w każdym wieku. Wiem, bo mi koleżanki mówiły.

– Żebyś wiedział… – Tym razem zgodził się już jakby całkowicie. I bezapelacyjnie. – Żebyś wiedział…

– Chłopie – złapałem się za głowę, jakby nie dowierzając temu, co słyszę – ile ty masz lat!

– Przecież sam przed chwilą powiedziałeś – odpowiedział mi na to spokojnie – że wiek nie ma tu nic do rzeczy. Jestem chłopcem, widocznie…

– No, tak, prawda. I to się już chyba nie zmieni – u ciebie.

– I zawsze nim byłem. Chociaż urodziłem się, co już kilku osobom miałem odwagę powiedzieć, stary i smutny, to – jako chłopiec jednak, w dodatku. Czyli – Łukasz udał, że mówi to, w razie czego, nie całkiem poważnie – jako poeta, krótko mówiąc. Nawet jeśli taki, co to wierszy nie pisze, bo nie umie. Albo, co gorsza, pisze – choć nie umie.

– A to akurat… może się podobać. Ale tylko, że tak powiem, do połowy. Która jednak potem, wobec braku drugiej połowy, może często okazać się akurat tą… jakby mniejszą połową. Bo ważniejsza wydaje się zawsze ta, której akurat brak. – Widziałem, że chyba nie rozumie, co mam na myśli, albo do czego zmierzam. – I to też wiem, bo mi koleżanki powiedziały – powiedziałem. – Sam nad tym długo myślałem, aż mi wreszcie zaświtało, na czym może polegać to, skąd potem wszystkie inne nieszczęścia się biorą. I powie-

działem to jednej takiej, z pretensją w głosie, jakbym rzucał jej pod nos koronny dowód na to, kto tu jest koniec końców głównym winowajcą: „Bo cały kłopot z wami", powiedziałem, „polega na tym, że wy chcecie, żeby was kochali poeci, ale pieniądze do domu – żeby przynosili potem gangsterzy". I wiesz, co mi na to powiedziała? „No, właśnie tak", powiedziała. „I co w tym dziwnego?" Tak powiedziała! Jakby nie było w tym... żadnej sprzeczności. A to przecież tak samo, jakby powiedziała, że chce idealne koło, ale takie, żeby było ono też... z kantami od czasu do czasu!

– Żebyś wiedział... – westchnął Łukasz, udając wielce strapionego. Po czym, już uśmiechnięty, dodał: – Nie wiem, skąd je znasz, ale masz koleżanki, które wiedzą, jak jest. Albo jak chciałyby, żeby było. Co dla nich wychodzi zresztą na to samo: jak jest i jak chciałyby, żeby było. Właśnie tak – ma być!

– I teraz tak byśmy mogli – chciałem przerwać to może i dowcipne, ale w sumie dość jałowe filozofowanie – przerzucać się słowami bez końca, zgrabnie i pomysłowo. A Lena tymczasem – stygnie jako temat. A miało być o Lenie przecież, tak czy nie?

– Lena... – zamyślił się Łukasz. – Albo Ellen, sam już nie wiem. Bo tak na nią mówią tam – Niemcy, czasami. Albo, bo tak też mówią – Lena. Czyli i tak, i tak – różnie.

– No więc, co... z nią?

– Poza tym że zwariowałem z miłości do niej? – Łukasz powiedział to lekko i jakby od niechcenia, jakby nie było to nic takiego, o czym warto by dłużej mówić. A jeśli mimo to powiedział o tym, to zrobił to może dlatego, że uznał to za po prostu niezbędny wstęp do tego, co było, jego zdaniem, dużo ważniejsze i naprawdę istotne w tej opowieści. – Gruntownie zakwestionowała to, co wcześniej uważałem za swój światopogląd i wierzyłem, że jest to... naprawdę solidnie ugruntowana prawda: nie do ruszenia, a nawet – nie do tknięcia! I to w jaki sposób to zrobiła: z cicha pękł! A właściwie, można powiedzieć, prawie palcem nie kiwnęła w tej sprawie. Bo całej tej, jak to się dzisiaj mądrym językiem nazywa, dekonstrukcji... dokonałem ja sam. – Rozłożył ręce jakby bezsilny wobec tego, co się stało. Ale zaraz uśmiechnął się, jak lekarz, który stwierdził wprawdzie poważne schorzenie u pacjenta, ale mimo to nie chce pozbawiać go ostatniej nadziei. – Ale spokojnie, całkiem się przez to nie rozmontowałem. Coś jed-

nak zostało – ze mnie we mnie. A przynajmniej tak mi się wydaje, jak sądzę…

***

„Na przykład miłość, w odróżnieniu od przyjaźni, jest uśmiercana, czy raczej gaśnie, w chwili gdy jest ujawniana publicznie („Nie próbuj nigdy mówić o swojej miłości / Ta, o której nigdy nie mówiono, może trwać"). Ponieważ nieodłączną cechą miłości jest bezświatowość, może ona jedynie stać się fałszywa i wypaczona, gdy używa się jej do celów politycznych takich jak zmiana czy zbawienie świata."

Hannah Arendt, *Kondycja ludzka*

***

– Bo najlepsze, naprawdę ożywcze i nadziejne, są początki – powiedział Łukasz. – A już najbardziej te jakby spóźnione, więc czynione w pośpiechu, poganiane dyskretnie, albo i całkiem otwarcie, przez desperację: że już czasu może niewiele zostało, więc nie ma co tracić go na niepotrzebne udawanie… I wtedy nagle czuje człowiek, że może – wreszcie! – powiedzieć innemu całkiem wprost to, o czym wcześniej… może jedynie myślał skrycie i to też jakby w tajemnicy nawet przed samym sobą. Istna mieszanka wybuchowa – i to jak wybuchowa! – rozpaczy i nadziei: a co tam – niech się dzieje co chce! I do głowy wtedy człowiekowi nie przyjdzie, że może to, co nagle wydaje mu się być w zasięgu ręki, nie jest tak naprawdę możliwe. Bo jest tego pewien: że mu się to trafiło jako wprawdzie spóźniona, ale przecież jak najbardziej należna sprawiedliwość losu!

– Rzeczywiście, nie kłamałeś – ja mu na to, wesoło. – Naprawdę zwariowałeś… z miłości. A przynajmniej tak to mogłeś wtedy nazywać, jak nazwałeś: miłość. Mieszanka wybuchowa rozpaczy i nadziei.

I znowu prowadziliśmy rozmowę bardzo na temat, tak bardzo, że wszystko inne, co nie dotyczyło tego tematu w sposób istotny, jakby zupełnie nie miało znaczenia. Więc ani to, gdzie wtedy byliśmy, ani jak wyglądaliśmy, jak byliśmy ubrani i co działo się poza naszą rozmową – czy siedzieliśmy wtedy w barze, każdy nad swoim kuflem piwa, czy szliśmy właśnie ulicą, bo nie chciało nam się czekać na autobus – to wszystko… po prostu nie ma o czym gadać. Jak-

by poza naszą rozmową, czyli poza słowami, które mówiliśmy do siebie (i jak nam się mogło wydawać, które obaj tak samo dobrze rozumieliśmy), świata nie było.

– Zresztą – ciągnąłem dalej – równie wybuchowa może być inna mieszanka: rozpaczy i beznadziei. Skutki, albo objawy, są podobne: człowiek mówi wtedy tak szczerze, że aż... całkiem nieostrożnie. Bez żadnej asekuracji – całą prawdę, jaka „w nim siedziała i męczyła go od środka – już od dawna". Mam znajomego, który kiedyś mi o czymś takim opowiedział. Zdziwiło mnie najpierw to, co powiedział – o swoim kumplu. Ale potem... jakbym zrozumiał. „Ja to najbardziej lubię z nim gadać", powiedział, „jak się z żoną rozstaje. Bo wtedy, albo: dopiero wtedy, mówi wreszcie szczerze i jak człowiek. Zanim mu to nie minie i chłop nie wróci do normy. I do żony i do udawania, że wszystko jest o'kej między nimi. Bo chce mieć nadzieję, że tym razem – po wybuchu – naprawdę tak będzie. I tak aż do następnego razu." Taki przypadek...

– To trochę jak z gadaniem po pijaku – Łukasz na to. – Tylko że po pijaku jest lepiej. Bo potem każdy cię „zrozumie" i będzie wiedział, że przecież „to tylko po pijaku tak było mówione". A może w dodatku... uzna to jeszcze za zabawne, w sumie. A i samemu gadającemu też łatwiej potem „wrócić do normy". Bo powie to samo – że to nie on gadał, tylko wóda przez niego – albo jeszcze lepiej: że... nie pamięta (co zresztą może być najprawdziwszą prawdą – nieraz).

– I mówisz, że tobie właśnie coś takiego... się przytrafiło, tak? – Chciałem wrócić do głównego tematu. – Desperacki atak miłości...

– Coś pięknego... – rozmarzył się Łukasz. – Mówię ci, coś pięknego. Chociaż – podniósł palec wskazujący ku górze, jakby na znak protestu, gdybym chciał go wziąć za „kompletnego wariata" – tak całkiem i na amen kontaktu z rzeczywistością nie straciłem. O czym niech świadczą najlepiej moje własne słowa, które wtedy powiedziałem: „Wcześniej było do dupy i nie chciało mi się żyć, a teraz – też jest do dupy: ale chce mi się żyć!" Czyli że jakieś przeszkody ze strony rzeczywistości... jednak widziałem.

– Czyli...?

– Ale na początku wydawały się one jakby... jak by to powiedzieć: onieśmielone siłą ataku? Bo niby były, ale jakby... bezsilne. Ale – jednak były.

– Czyli…? – powtórzyłem.

– To coś jakby nagroda pocieszenia, gdy w zawodach wprawdzie wziąłeś udział, ale – nie bardzo ci wyszło, albo całkiem kiepsko. – Łukasz widocznie uznał, że jeszcze potrzeba tu „uściślenia na poziomie ogólniejszym". – Lub przynajmniej obietnica takiej nagrody…

– No i…? – Udałem zniecierpliwionego. – Dalej!

– Dalej-dalej! – powtórzył za mną, przedrzeźniając mój niby rozkazujący ton. – I byle szybciej, byle dalej, nie? A może jednak… – dodał już spokojnie i bardzo powoli, jakby i mnie chciał tym spokojem zarazić – głębiej? I – wstecz? I bez pośpiechu, wolniej. – Choć widziałem, że i on aż wyrywa się do tego, by mówić dalej. A mimo to… jakby próbował zwalniać. I chyba nie dlatego, by w ten sposób tylko „stworzyć jeszcze większe napięcie" w opowieści. – Z pierwszą dałem sobie radę dość łatwo – przeszedł wreszcie do konkretów. – Właściwie, to można powiedzieć, że poszedłem na łatwiznę najkrótszą drogą. Bo co z tego, że nazwisko ma inne, niż kiedyś? Takie rzeczy się zdarzają: baby za mąż wychodzą. Ale – z drugiej strony – dość miała czasu, by się rozwieść. I tak właśnie postanowiłem: że pewnie już od dawna jest po rozwodzie. Bo takie rzeczy przecież też się zdarzają: ludzie się rozwodzą. A nazwisko jej zostało, bo tak było łatwiej: żeby w papierach się zgadzało – i w ogóle. Zresztą… żebyś nie myślał, najpierw ją o to zapytałem: czy mogłaby mi opowiedzieć, skąd ma inne nazwisko? Ale ona… jakby nie zauważyła tego pytania, nic mi na to nie odpowiedziała. Więc cóż, sam musiałem to zrobić – i zrobiłem.

– No to oczyściłeś sobie przedpole, nie ma co. Zuch-chłopak!

– Nie? – jakby przyznał mi rację: nie ma czym się chwalić. – Jednak to nie było najważniejsze – powiedział, jakby także i teraz nie miało to aż takiego znaczenia. – Przynajmniej wtedy. Serio. A o tym, co mnie interesowało, opowiedziała mi akurat co nieco, choć widać było, że wcale nie jest to dla niej miły temat. O tym, jak było na początku, gdy przyjechała do Niemiec, jak ich do obozu wzięli, i o tym, że działy się tam – gdzie na jednej sali byli wszyscy razem, kobiety i faceci, w przedziale, jak powiedziała, „od szesnaście do sześćdziesiąt" – różne rzeczy… Opowiedziała mi, niewiele, ale jednak coś, o tym, o czym, jak przypuszczam, potem na-

wet między sobą, a może między sobą tym bardziej, nie rozmawiali nigdy ci, którzy tam, w tym obozie i na tej sali, byli. Jeśli oczywiście później się spotkali – gdzieś. A to, przyznasz, jest coś! Taka prawdomówność…

– No i co takiego się tam działo, ciekawe… – Naprawdę mnie to zaintrygowało.

– Pornosów ci opowiadać nie będę! – uciął temat stanowczo i definitywnie. – Ale co innego ci powiem. Bo to mnie… też ruszyło. Jakie to nieszczęście spotkało ludzi, którzy, podobnie jak ona, przecież do Niemiec wyjechali tylko po to, żeby „było im lepiej", i już prawie-prawie im się udało, a tu nagle… „okazało się, że wujek ich u Andersa był. I koniec. Oni wszystko w Polsce sprzedali, jak tu jechali, i już przyjechali, a teraz im mówią: nie! I co oni mieli zrobić – dalej?" Gdy mi to mówiła, naprawdę była poruszona. I tyle w niej było współczucia – wobec tego nieszczęścia, jakie ich spotkało. Na własne oczy to widziałem: nic nie udawała!

– Widzia-łeś? – zapytałem zdziwiony.

– No, tak – przyznał. – Bo to było już później, gdyśmy się spotkali i widzieli tak bardziej naprawdę. Czyli, jak to mówią, oko w oko, fejs-tu-fejs. Ale to było dopiero później…

– A skąd pan weźmie uzupełnienia, zapytali Andersa pod Monte Cassino – powiedziałem, jakbym czytał z książki. – A on im wtedy odpowiedział: „Uzupełnienia są – po drugiej stronie frontu".

I tak było faktycznie. Że z tych Polaków, z których najpierw Niemcy „zrobili Niemców" (trzeciej kategorii, ale zawsze – zapisali ich w papierach jako odtąd obywateli Rzeszy), głównie po to, żeby następnie móc już „legalnie i zgodnie z prawem" powołać ich do Wehrmachtu, jeśli potem trafili oni do niewoli alianckiej – miał te uzupełnienia.

– No i może wśród tych uzupełnień był też wujek tych nieszczęsnych kandydatów na Niemców, którym już się mogło wydawać, że udało się, a tu, proszę – taka przykrość: czyli niemiecki porządek. Bo znaleźli porządni Niemcy u siebie w papierach, że ten ich „niemiecki przodek"… to dezerter i zdrajca, a nie żaden dobry Niemiec, co to na wojnie własne życie dla niemieckiej sprawy narażał. I szlus, Rajch zamknięty: nie będą Niemcami! – Łukasz udał wielce zmartwionego. – A gdyby tylko ten wujek wiedział już wtedy, gdy go do niewoli brali, jak się ta wojna skończy i jak dobrze będzie stała

marka niemiecka, kto wie... może umiałby zachować się bardziej po niemiecku patriotycznie. A tu, proszę – taki numer wyciął... rodzinie.

– A jej powiedziałeś... – zapytałem, uznając wątek wujka i jego niefartownych krewnych jako niedoszłych Niemców za zamknięty – że jest rozwiedziona?

– Chyba nie... – odpowiedział. – A nawet jeśli, to... nie od razu. W każdym razie na początku na pewno nie. Zresztą, ona wtedy też nie robiła z tego tematu. Omijała to raczej... Zresztą, później także.

– Zuch-dziewczyna!

– W końcu jednak to powiedziała, z ciężkim sercem: przyznała się. Że nie tylko ma córkę, o której już wcześniej wspomniała, ale także męża. Ale to było dopiero wtedy, gdy już jasno zostało powiedziane, jak jest. Że mianowicie jest między nami dawna miłość sprzed lat – jako sprawa wciąż nie załatwiona! Która teraz nie była jednak już tylko naszą prywatną sprawą, ale nabrała charakteru, przynajmniej dla mnie, problemu... także międzynarodowego, można by powiedzieć. – Łukasz uśmiechnął się kwaśno, jakby sam mało zadowolony z dowcipu, który próbował powiedzieć, a który... nie bardzo mu udał. – I to ona mi o tym powiedziała. Że jest taka „sprawa", a ja... najpierw nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć, a potem – wzięło mnie na całego. Do tego stopnia, że wtedy chyba nawet samemu Hitlerowi... co nieco byłbym w stanie darować.

***

Na podstawie naszych rozmów o Lenie (w których w zasadzie działy się tylko słowa), raczej trudno byłoby zrobić tak zwany „dobry film". Bo kto chciałby na coś takiego patrzeć – nie było tu nic widowiskowego. Tysiąc słów, zwłaszcza jeśli są to w dodatku słowa niepewne i wciąż jakby poszukujące dopiero, nie jest warte tyle, co jeden obraz, który jest konkretny i... niewątpliwy. A co dopiero cała seria takich obrazów, jak w filmie akcji, w którym „naprawdę coś się dzieje" – bo obrazy szybko się zmieniają i co chwila coś nowego się dzieje: nie ma czasu na nudę!

Chociaż z początku Łukasz robił naprawdę wiele, żeby ludzi tym zainteresować, jakby próbował sprawie zrobić jak największą reklamę. Opowiadał o tym właściwie każdemu – bardzo chętnie! Prawie jakby nie umiał wtedy mówić o niczym

innym. Bo nawet jeśli rozmowa dotyczyła z początku czegoś zupełnie innego i bardzo tutejszego, prędzej czy później dochodziło do tego, że także przy tej okazji Łukasz mówił na końcu „znowu o tym". A ludzie, no cóż – z początku słuchali, i to nie tylko przez grzeczność, ale chyba nawet naprawdę z zainteresowaniem. Była to w końcu jakaś nowość w ich codziennym świecie, gdzie już nie działo się tyle, co jeszcze niedawno, gdy naprawdę byli „jeszcze młodzi, a przynajmniej nie aż tak starzy – i potrafili jeszcze nawywijać!" Więc może trochę na zasadzie, że na bezrybiu i rak ryba, ale było to jednak coś. Że Łukasz „ponoć jakąś babę sobie w Niemcach znalazł, przez internet; niby Polka, ale w sumie – to folksdojcz zwykły, nie?", a żeby tej informacji dodać jeszcze pikanterii, dodawano czasem: „ – i to chyba mężatka, w dodatku". I kto by pomyślał, że to akurat jego coś takiego dopadnie – i to aż tak! Zachowuje się, jakby naprawdę mu odbiło. I ciekawe co dalej, bo może jeszcze... będzie się działo!

Jednak nie zaczęło „się dziać" nic aż tak sensacyjnego, co mogłoby na dłużej stać się pożywką dla języków ludzkich.

Chociaż pewną sensacją (ale tylko na jakiś czas i nie na długo) stało się to, co zaskoczyło także samego Łukasza (gdy to u siebie zauważył), a mianowicie, że z większym niż dotychczas, jeśli nie od razu zrozumieniem, to przynajmniej wyrozumiałością zaczął on podchodzić do Niemców „jako ludzi". Owszem, nadal był zdania, że to, co Niemcy zrobili „naszym chłopakom i dziewczynom" w Powstaniu, i w ogóle Polsce i Polakom podczas wojny, to była zbrodnia niebywała, a dzisiejsze Niemcy, gdzie po wojnie jak gdyby nigdy nic obejmowali urzędy państwowe także ci, którzy bezpośrednio byli za to odpowiedzialni – są spadkobiercami tej winy. I w tej sprawie nie ma co mówić o prawdziwym pojednaniu, dopóki sprawy te nie są naprawdę uczciwie rozliczone. A nie są! I dlatego nie ma co się dziwić, i sami Niemcy też nie powinni się temu dziwić, że patrzy się na nich tutaj tak, jakby każdy Niemiec to do dzisiaj był co najmniej pół-hitlerowiec. Z drugiej jednak strony nie widział już tylko „wielkiej sprawiedliwości dziejowej", ale także krzywdę ludzką w tym, że po wojnie z ziem, które przed wojną były niemieckie, a po wojnie stały się polskie, przymusowo wysiedlano Niemców, którzy mieszkali tu przecież, przynajmniej w ich własnym odczuciu lub jak daleko pamięcią sięgali... od zawsze. Więcej nawet, potrafił zgo-

dzić się, że o tych przesiedleniach Niemcy mogą mówić do dzisiaj „wypędzenie". A to nawet dla tych znajomych Łukasza, którzy, jak sami deklarowali, „historię mieli raczej w dupie", było już... jednak za wiele. Zwłaszcza że urodzili się i mieszkali, tak samo jak Łukasz zresztą, w takim właśnie mieście – poniemieckim. Czyli co – może mamy teraz to Niemcom oddać?

– O'kurwa! – powiedział jeden z nich, dosadnie. – On będzie jeszcze po niemiecku gadał! – Po czym, żeby przy okazji błysnąć dowcipem, dodał: – A ta twoja Lena, to pewnie od Magdalena jest, ale teraz im wmawia, tym Niemcom, że od Marlena, jak Dietrich, ta, co Hitlerowi śpiewała...

– Ale – niby nieśmiało zaprotestował Łukasz – akurat Marlena Dietrich to Hitlerowi nie śpiewała, raczej wręcz przeciwnie. Ona za Hitlera z Niemiec wyjechała i w Ameryce siedziała, przeciw Hitlerowi i na złość jemu. – Po czym dodał, może już niepotrzebnie: – Za co zresztą po wojnie wielu Niemców miało do niej żal, że... zdradziła ojczyznę, było nie było. I z Amerykanami się zwąchała, czyli tymi, którzy ich potem, po wojnie... okupowali. Bo to przecież w Efie byli okupanci, aż do 1990 roku, bo dopiero po zjednoczeniu Niemcy formalnie odzyskały... niepodległość.

– No! – wykrzyknął, jakby krzykiem chciał pokryć własną niewiedzę co do faktów, którą mu Łukasz właśnie wykazał. – Już prawie mówi jak Niemiec: broni ich! No, mówię wam, będzie gadał po niemiecku.

– Ale... – Łukasz udał, jakby faktycznie nie wiedział, o co „tak naprawdę" chodzi. – Ja tylko powiedziałem, jak było. Bo takie... są fakty?

Ale przecież bardzo dobrze wiedział, o co chodziło. O to mianowicie, że wojna z Niemcami... wcale się tak do końca jeszcze nie skończyło. Nawet dla tych, którzy, jak sami lubią o sobie mówić, bo przez to mogą się poczuć bardziej nowocześni i ogólnie do przodu, „historię mają raczej w dupie". Bo do tego, żeby to „wiedzieć i czuć", nie jest już nawet potrzebna żadna konkretna wiedza (o czym w tej wymianie zdań mógł się Łukasz po raz kolejny przekonać). Jakby pojedyncze fakty nie miały nic do tego, co „po prostu wiadomo": że Niemcy – to Niemcy. Czyli – zawsze hitlerowcy trochę, jednak.

Wkrótce jednak na ogół przyzwyczajono się do tego, że Łukaszowi „tak się stało – trochę dziwnie" – i że o Niemcach mówi nieraz tak, jakby to byli „tacy sami ludzie jak inni" –

i raczej bez większego trudu tolerowano to, jako swego rodzaju ciekawostkę. Przez babę mu się tak stało, to i chłopa trzeba trochę zrozumieć, a poza tym jeszcze – przecież jakieś fakty do tego przytacza, z historii, więc... nie całkiem znikąd.

Niestety jednak, nie wszyscy byli dla niego zawsze aż tak pobłażliwi.

– To wypierdalaj do tych swoich Niemiec! – usłyszał kiedyś, i to w dodatku, co tym bardziej go zabolało, od rodzonego brata. I wziął to (czemu trudno się dziwić) bardzo osobiście do siebie, tak bardzo, że... nawet się nie wściekł na te słowa, głupie i złe! Zaniemówił, tak mu się nagle zrobiło... smutno: dogłębnie!

Inna rzecz, że sam może też był trochę winny temu, co się stało. Bo może rzeczywiście przesadził z tym czepianiem się każdej nieścisłości, jaką tylko zdołał zauważyć w coraz bardziej pośpiesznej, a wiec siłą rzeczy coraz bardziej nieuważnej i bezładnej przemowie brata. A potem, gdy rozmowa wpadła już w niebezpieczny galop – nie umiał (albo nie chciał!) zwolnić. No i doszło w końcu do wybuchu.

– Rodzony brat osobiście, żeby nie angażować w to od razu całej ojczyzny, mnie zdenazyfikował – Łukasz próbował potem opowiadać o tym tak, jakby to była w gruncie rzeczy zabawna anegdotka i naprawdę jedna z tych do śmiechu bardziej. – Za zatwardziałość serca i za to, że nie umiałem uznać siły jego argumentu: że jeśli on się tutaj urodził, a jakiś czas wcześniej gdzieś w okolicy był Bolesław Chrobry (i aż do granicy z Enerdé był!), to znaczy, że ziemia tutejsza zawsze do nich, czyli do brata mojego i Bolesława Chrobrego należała, czyli – polska była! I za to też, że ja o jakichś tu Niemcach próbowałem mówić: że oni też tutaj mieszkali u siebie – chociaż tylko przez kilka wieków raptem – i po niemiecku mówili, w dodatku. A tak mówić może przecież, wiadomo – tylko Niemiec. Czyli hitlerowiec i nazista. A skoro tu nie ma miejsca dla takich, to... repatriował mnie w prostych, żołnierskich słowach: „To wypierdalaj do tych swoich Niemiec!" Tak mi powiedział. – Łukasz udał zdruzgotanego. – Ale dokąd ja mam się repatriować, jeśli ja... też tutaj się urodziłem, i to w dodatku po polsku?

Jednak wbrew pozorom, które sam starał się stworzyć opowiadając o tym potem jakby na wesoło, wcale nie uważał tego ani za zabawne, ani za... dobre. I to nie tylko dlatego, że „opcja", za jaką tak zdecydowanie (i bojowo!) opowiadał się

jego brat, nie pozostawała w zgodzie z całą prawdą, jaką przecież także i on, jego brat – znał! Więc nie tylko dlatego, że brat wyraźnie „przebierał" fakty, żeby następnie jedynie z tych wybranych zbudować „obraz całości". Ale także dlatego, że to był – jego brat! Który jednak, skoro tylko znalazł się w „warunkach bojowych" – bo za takie najwidoczniej uznał spór z Łukaszem, który niemal zdradziecko chciał być innego zdania niż należy – od razu przystąpił do walki, nie zastanawiając się przedtem ani przez moment nad tym, dlaczego... dlaczego Łukasz „mówi takie rzeczy". Bo na wojnie nie ma czasu na takie „empatyzowanie". A to była przecież wojna! Którą mniejsza o to jak, ale trzeba było – najpierw wygrać: czyli zabić wroga!

A przecież nawet gdyby Łukasz się mylił i gdyby to, co mówił, było bzdurą nie z tej ziemi, to można było... inaczej go potraktować i bardziej – po bratersku.

Ale, można by powiedzieć, może i tego brata też trzeba by spróbować zrozumieć. Bo może akurat miał wtedy „gorszy dzień", jak to się mówi (cokolwiek to znaczy), i tak naprawdę zupełnie inna była przyczyna tego jego nagłego wybuchu? Ale jeśli nawet tak właśnie było, to kto z nich dwóch... powinien wrócić potem do tematu, żeby spróbować sprawę na spokojnie wyjaśnić i naprawić sytuację miedzy nimi, żeby nie zostawiać jej w takim (raczej kiepskim) stanie? Łukasz był przekonany, że na pewno nie on. Bo to w końcu nie on był sprawcą tego ataku, ale – jego ofiarą.

A może błąd Łukasza (czyli jednak – był w błędzie, mylił się!) polegał na tym, że akurat po bracie (bo to w końcu brat przecież!) nie spodziewał się tego, na co był wprawdzie przygotowany, jako na coś, co „jest do pomyślenia, niestety", ale w spotkaniu na ten temat... z innymi, dalszymi mu i bardziej obcymi ludźmi? Może... I może właśnie to „może" było powodem jego aż tak porażającego smutku – jako pierwszego skutku po wybuchu.

I dlatego później, nawet jeśli zabierał na ten temat głos – czyli gdy mówił, że te sprawy nie są wcale aż tak proste i jednoznaczne, jak może chcieliby to widzieć propagandyści po obu stronach politycznego frontu z historią w tle – starał się mówić o tym „obiektywnie" i pilnował, aby nie łączyć tego z jego... osobistym życiem i uczuciami (jakby wcale nie zależało mu na poznaniu prawdy aż tak osobiście!). Ale mówił coraz

rzadziej i też coraz mniej było ludzi, którzy w ogóle chcieliby z nim na ten temat rozmawiać. Bo oni albo „historię mieli raczej w dupie", albo – z innej strony – „już wystarczająco dobrze wiedzieli, co mają sądzić o tym lub tamtym"; w każdym razie jakby nie było już miejsca na jakiekolwiek wątpliwości.

I tak oto, choć nie doszło tutaj do żadnych definitywnych rozstrzygnięć, na froncie „walki o prawdę historyczną"... było coraz ciszej. Aż w końcu jakby nastąpiło tu „rozsądne" zawieszenie broni. Co jednak wcale nie znaczyło, że doszło tutaj do zawarcia prawdziwego pokoju. Raczej – żeby nie kłócić się bez sensu, skoro widać, że nikt tu tak naprawdę nie chce zrozumieć racji strony przeciwnej – jakby przestano walczyć... Bo tyle w końcu jest fajniejszych rzeczy, którymi może się człowiek zająć – żeby było mu po prostu... fajnie!

Ale Łukaszowi – jakoś nie było z tym fajnie.

Bo chociaż próbował tej sztuki życia, i mogło się wydawać, że nawet osiągnął już w tej dyscyplinie jakieś sukcesy, okazało się, że to, żeby „było po prostu fajnie", to było dla niego za mało... jednak. I dlatego natychmiast chciał chcieć czegoś więcej, gdy tylko zobaczył, że to „więcej"... jest nagle możliwe. A przynajmniej taką chciał mieć nadzieję: że jest. Bardzo.

Widocznie zbyt słabo pracował nad „wejściem na poważnie w naprawdę dorosłe życie", gdy był czas po temu. A teraz – może było już na to zwyczajnie za późno?

– Dzieci są zawsze lepsze od dorosłych – powiedział kiedyś, znowu niby jako żart – dlatego, że to zawsze są bardziej lub mniej, ale piękne potencjalności. Tymczasem dorośli – to zawsze bardziej lub mniej, ale w sumie smutne... aktualizacje.

Lena stała się dla niego obietnicą pięknej możliwości. I Łukasz uwierzył – w nią. I nie miało dla niego wtedy znaczenia to, czy to Lena jako taka możliwość mu się przedstawiła, czy też to on ją jako taką zobaczył – bo może (no, właśnie!) zrobili to... razem. W każdym razie Łukasz – uwierzył. I jak to mówią (lub jak to zostało napisane) ruszył w drogę, nie wiedząc dokąd idzie. Do-słownie! Do słów i przez słowa – szedł w miejscu.

„Jesteś moją kategorią aprioryczną" – pisząc jej te słowa miał nadzieję, że będzie umiała domyślić się, co chce jej przez to powiedzieć; bo wspomni na pewno przy tej okazji o tym, co im na studiach mówili... o Kancie.

Ale ona – jakby nie domyśliła się. Albo i domyśliła się, ale tylko częściowo – że to pewnie coś miłego miało być! – i chciała o tym więcej słów. Odpisała więc w odpowiedzi: „Ale co to znaczy – tak konkretniej?" Starając się, żeby w żadnym razie nie zabrzmiało to zbyt naukowo i obiektywnie, próbował wyjaśnić jej, że patrząc teraz na świat, patrzy na niego mając zawsze ją na myśli i dzięki temu... jakby widział w tym świecie więcej ładu i sensu. „I o to chyba chodzi w dobrym poznaniu – dodał na koniec. – Żeby człowiek umiał jak najlepiej (!) zrozumieć otaczający go świat".

I mało go obchodziło wtedy (choć przyszło mu to na myśl), że jego dawni nauczyciele mogliby być zgorszeni tym, w jaki sposób Łukasz teraz posługuje się wiedzą, którą starali się mu przekazać – aż tak instrumentalnie i dla własnego pożytku!

Bo ważniejsze było dla niego, że dzięki Lenie (i przez Lenę – w sensie Kantowskim) już nie denerwował się tak, jak kiedyś, na baby w sklepie, które stojąc przed nim w kolejce, gdy doszły do kasy, zaczynały swoje zamówienie od słów: „Co to ja chciałam...?" – i bardzo długo trwało, zanim w końcu sobie przypomniały i zdecydowały się wreszcie, po co tu przyszły i czego im trzeba – do jedzenia. Ale zamiast się wkurzać, jak to robił dotychczas, Łukasz tylko uśmiechał się wtedy wyniośle, także z tego powodu, że „te durne baby nawet nie wiedzą, komu zawdzięczają to, że on jest taki spokojny i jakby wcale nie denerwuje się na nie" (chociaż... mógłby: bo jak się idzie do sklepu, to człowiek chyba powinien wiedzieć wcześniej, czego chce!).

I także to, co mu kiedyś napisała Lena, potrafiło go niemal uszczęśliwić: „Opowiadasz mi bajki – napisała – ale i tak ci wierzę". Bo czyż nie były to piękne – słowa!

„Gdyby rząd twojej obecnej ojczyzny wiedział – napisał Lenie – ile dobrego przez Ciebie się stało, jeśli chodzi o polepszenie wizerunku Niemiec zagranicą, a przynajmniej że naprawdę poważne próby w tym kierunku zostały uczynione..." – I było mu wszystko jedno, czy Lena weźmie to całkiem na poważnie, czy potraktuje jednak jako żart raczej. – „Już choćby za to powinni ci jakąś nagrodę ufundować w Bundestagu. Albo nawet stałą pensję." – Bo choć wiedział, że był to zaledwie skutek uboczny tego, co się wydarzyło, a potem zaczęło dziać dalej, i że Lenie akurat na tym

nie zależało jakoś specjalnie (bo przecież nie była agentem wpływu na niemieckim żołdzie!), uznał, że o tym też powinien jej powiedzieć, żeby wiedziała... ile dobra przez nią przybyło na świecie – tyle, że nawet Niemcom coś się z tego dostało!

***

A może gdyby więcej pracował, czyli gdyby miał taką pracę codziennie do wykonania – do której musiałby po prostu „chodzić" (jak każdy normalny człowiek!) – i która zabierałaby mu więcej czasu, w zamian dając błogie zmęczenie nie tylko ciała, ale i duszy, czyli ten stan, w którym najchętniej myśli się o tym, żeby po robocie tylko odpocząć fajnie i możliwie nie za poważnie (bo poważnie to człowiek będzie w trumnie wyglądał!) – może wtedy myślałby inaczej i... na pewno nie aż tyle o sprawach nie-dzisiejszych!

Ale takiej pracy nie miał.

Choć najpierw (ale to było już dawno temu – na początku) chciał taką pracę i nawet udało mu się znaleźć coś takiego, ale potem – już nie mógł. I jak to mówią, tak jakoś się stało, że w końcu – chyba już by mieć takiej nie umiał. Albo nie chciał umieć. W każdym razie stałej pracy – nie miał. Żył z prac zleconych, pracując w domu – na komputerze, czyli zdalnie. Czyli z dala... także od tak zwanego normalnego świata, gdzie „wiadomo jak jest: praca-dom, praca-dom – i tak w kółko".

I choć przez to jego byt był na pewno słabiej „zabezpieczony", to równocześnie (jakby „za to"?) był on bardziej, bo w większym wymiarze czasowym – naprawdę jego bytem. Zresztą, powiedzmy to szczerze (żeby nie robić tu żadnej kłamliwej reklamy), był to byt raczej biedny; ale na chleb powszedni jakoś starczało.

A gdy akurat nie było dla niego żadnych zleceń, miewał nagle duuużo czasu...

A mając czas (dużo czasu), ale nie mając pieniędzy (za dużo) – cóż mógł wtedy robić?

Myślał sobie. Albo czytał – myśląc. Też sobie.

I tak żył sobie – trochę dziwnie. I myślał też dziwnie, coraz mniej praktycznie – i jakby coraz bardziej sobie. A jeśli „sobie", to – przez siebie i „do siebie". Ale był tego przynajmniej świadomy! Że mianowicie takie myślenie, wiadomo – jest przecież na nic!

Tak więc raczej niechcący (i może dlatego właśnie nawet przed samym sobą nie przyznając się do tego otwarcie) był coraz bardziej, albo przynajmniej coraz częściej – tylko myślicielem. Czyli, można by rzec, kandydatem na filozofa. Lub, mówiąc bardziej normalnym językiem – był sam. Gadał sam do siebie i coraz bardziej ze sobą tylko. I coraz bardziej wiedział o tym. I to nie było fajne.

A gdyby tylko miał pracę, która bardziej by absorbowała jego siły i czas (i męczyła go – miłosiernie), może wtedy mógłby... tego uniknąć. I żyłby jak człowiek, jak to mówią: po prostu i bez wydziwiania – tu i teraz! I bez niepotrzebnego rozczytywania się (czyli nie za bardzo do siebie, a tylko dla rozrywki lub w jakimś bardziej praktycznym celu) w historiach dziś już nieważnych, bo przecież działy się one w czasach, które już dawno minęły... i całkiem! Tak całkiem, że... jakby nigdy ich nie było – dla nas.

Gdyby tylko świat i życie codzienne w tym świecie bardziej go wciągnęły...

– Tymczasem jestem jakby śmieciem świata – mógłby powiedzieć, uśmiechając się jakby zagadkowo. I zadowolony z tego, że nie powiedział wyraźnie, z jak sławnej księgi wziął te święte słowa. A potem mógłby dodać jeszcze: – Ale śmieciem myślącym. – Tu także nie zaznaczając wyraźnie, do czyich sławnych słów nawiązuje; bo przecież jeśli w jakichś słowach jest mądrość, nie potrzebuje ona dodatkowego wsparcia dla siebie w postaci Sławnego Nazwiska.

***

„Czasami przechadzam się po Kopenhadze pierwszej połowy XIX wieku, zastanawiając się, czy poznałbym go wśród przechodniów. Albo w czterdziestym czwartym równocześnie cieszę się i boję w niszczonej Warszawie, ale jeszcze walczącej" – napisał Lenie, odpowiadając na jej pytanie, od którego zaczęła ona ich drugą znajomość: jak żyjesz? – „A tak poza tym, to... raczej mało wychodzę z domu".

I niemal natychmiast poczuł, jaką wielką przyjemność mu to sprawiło, że właśnie tak mógł jej napisać. Bo napisał tak, jak chciał napisać, a równocześnie – jakby wcale nie obawiał się, czy nie zostanie... źle zrozumiany. A napisał prawdę przecież – jakkolwiek dziwnie to mogło wyglądać.

Potem jednak, nie chcąc aż tak bardzo „dawać jej do myślenia", wyjaśnił bardziej po ludzku, że po skończonych studiach, gdzie chyba był nie całkiem przez przypadek (jeśli na koniec, już po egzaminie magisterskim, zrozumiał, że „właściwie to dopiero teraz...mógłby to zacząć studiować naprawdę"), teraz, oddając życiu codziennemu, co mu się należy („na komputerze robię – różne rzeczy do druku"), zaczął czytać... nie opracowania (żeby wiedzieć, co dany filozof na pewno miał na myśli, i który z nich miał rację, a który był w błędzie), ale to, co ci filozofowie napisali sami i po swojemu, czyli teksty, jak to się mądrze nazywa, źródłowe (chociaż i to nie całkiem, bo nie w oryginale, ale już w polskim przekładzie). I że sprawia mu to przyjemność, bo teraz, myśląc o tym, co przeczytał, może... myśleć po swojemu. Bo już mu nie grozi to, że za „błędne odczytania" mógłby... nie zdać egzaminu. A gdyby nawet coś źle zrozumiał, nikomu (oprócz siebie samego, ewentualnie) przecież nie zrobi przez to jakiejś naprawdę wielkiej krzywdy.

A zdarzało się, że niektórym słowom, które czytał, a więc ostatecznie tym, którzy je napisali – nie wierzył. Bo wydawało mu się, że tu akurat... zwyczajnie i bardzo po ludzku, bo byli też ludźmi w końcu, kłamali – co innego mając na celu, niż tylko poznanie prawdy. Czyli że, jeśli nie od początku do końca, to przynajmniej w tej akurat sprawie, byli zdrajcami, albo nie byli filozofami naprawdę, tylko – jedynie „robili za filozofów". W końcu, można powiedzieć, praca jak każda inna, niestety; i tu też czasem musi człowiek zrobić coś, na co tak naprawdę nie ma ochoty, albo z czym się nie zgadza, a mimo to musi to zrobić i to jeszcze zrobić to tak, żeby nie było tej jego osobistej niechęci widać. I robi wtedy człowiek dobrą minę do złej gry. Ale cóż, jak to mówią: – Takie życie...

Ale o tym, przynajmniej na razie, jej nie napisał. Może także dlatego, żeby nie zdradzać się od razu z tym, jak bardzo jest... zniechęcony – tak w sumie i ogólnie?

O „niszczonej Warszawie, ale jeszcze walczącej" – jednak napisać musiał. Bo to było ważne – dla niego. Jako prawda, której nie powinien ukrywać. Że mianowicie, chociaż to powstanie było tak dawno temu, a on nawet nie jest warszawiakiem, to mimo to, w dziwny sposób i trudny do wytłumaczenia, czuje się z tym związany – jakoś. Z naszymi chłopakami i dziewczynami z powstania, jak to sam mówił. Bo jacy to byli

ludzie! Ostatni prawdziwi w tym kraju, potem – już takich nie było. I może nigdy już nie będzie – nigdzie...

Bo tym właśnie było dla Łukasza to powstanie, głównie i przede wszystkim – legendą i mitem o prawdzie, którą zabito. Bo nie było dla niej życia – w tym świecie, jaki stał się produktem ostatniej wojny. Zamiast niej inne niby-prawdy doszły do władzy, a jej funkcjonariusze zaczęli tu naszych chłopaków i dziewczyny z powstania, tych, których nie zabili wcześniej Niemcy, wsadzać do więzień w Polsce – powojennej. I choć potem niby ich wypuszczali (chociaż nie wszystkich, niektórzy... nie wyszli stamtąd żywi), początek był, jaki był – zły! Tak zaczęło się to przeklęte powojnie, które potem trwało i trwało, a w miarę upływu lat sytuacja stawała się coraz bardziej zagmatwana, niejasna i... w końcu już chyba nic nie było tym, czym mogło lub chciało się wydawać. I niejedna nie-prawda mogła bezwstydnie stroić się w szaty prawdy najprawdziwszej.

A w takiej sytuacji dobrze było pomyśleć, że „gdyby powstanie skończyło się sukcesem, wszystko dzisiaj byłoby naprawdę lepsze i prawdziwe". I przynajmniej w tym szukać jakiejś pociechy: że wcale nie musiało stać się tak, jak się stało.

No, ale cóż, stało się, jak się stało. I jest, jak jest... Ale to przecież żaden dowód na to, że tak, jak się stało, stało się słusznie i sprawiedliwie. Ani że trzeba zawsze szukać pełnej zgody i jak najkorzystniejszych układów – z faktami.

„Są tacy, którzy mówią, że to nie ma znaczenia, jaki kto ma światopogląd" – napisał Lenie. – „Bo w końcu człowiek się liczy, a nie to, w co on wierzy lub nie. I ja też kiedyś tak myślałem. Ale już tak nie myślę. I wiem, że na pewno nie mógłbym zadawać się z taką, która nie wie, ile dni trwało Powstanie Warszawskie".

„A ile trwało?" – odpisała mu na to Lena, która nie wiedziała.

„63" – napisał.

„Zapamiętam" – obiecała w odpowiedzi.

I to mu w zupełności wystarczyło. Że jakby co, to Lena... już wie: 63.

– I mówiłem jej – powiedział Łukasz – a właściwie pisałem, to, czego tutaj... chyba nikt już nie chciał słuchać. Bo to było takie jakby za mało na luzie. I czułem, że mogę jej o tym mówić! A właściwie pisać. Nie wstydziłem się. I czułem, że...

jej to nie nudzi. Odpowiadała mi! Rozumiesz? – zapytał z naciskiem. – Od-po-wia-da-ła!

– Konkretnie? – zapytałem.

– No właśnie! – odpowiedział niemal z tryumfem, jakby przejrzał mój chytry plan zwabienia go w pułapkę. – Konkretów było w tym może nie za wiele – przyznał spokojnie i bez żalu. – A nawet, jak się potem okazało, gdy tych konkretów już trochę poznałem, było ich na początku raczej mało lub prawie wcale, a mimo to – mimo to! – umiałem w tym, co do mnie pisała, znaleźć odpowiedź na niejedno moje pytanie. Umiałem dobrze ją zrozumieć, a nawet – tak: najlepiej!

– Ale cię wzięło, no… naprawdę.

– Właśnie! – znowu go poniosło. Prawie krzyknął. – Prawda. Czułem w tym… tyle prawdy! Bo choć, że tak powiem, oszczędzała mi faktów, przynajmniej na początku, to mówiła i tak… bardzo prawdziwie.

Gdy się widzi faceta po czterdziestce, który zachowuje się jak nastolatek zakochany po raz pierwszy w życiu, to pierwsze wrażenie może być… nieco żenujące nawet. Ale! Ale tylko naprawdę zgorzkniali zostaną przy tym pierwszym wrażeniu i nie pójdą dalej. Tymczasem dalej – zażenowanie mija. I można… tak: zachwycić się tym! I poczuć zbudowanym: że nawet w kimś tak już zużytym przez czas i poobijanym przez życie – żyje jeszcze nadzieja!

– I, szczerze mówiąc, raczej w dupie miałem to, że komuś może wydać się to śmieszne i dziecinne, co czuję i mówię – dodał Łukasz dla ścisłości. – Oczywiście gdy jeszcze o tym opowiadałem, a właściwie rozgłaszałem to, żeby wszyscy się dowiedzieli. Czyli na początku.

– Nadzieja jest lepszą siostrą rozpaczy… – wtrąciłem, jakbym czytał w jego uczuciach.

– A optymizm odważniejszym bratem biedy! – dodał.

– Albo… głupszym?

– Ta-aak… – Łukasz westchnął jakby zasmucony nagle, jednak tylko po to, żeby natychmiast dodać z tym większym zadowoleniem i prawie z wariackim animuszem: – Ale ile to razy w tym życiu okazywało się, że to właśnie do głupszych… świat należy!

– Und-morgen-die-ganze-Welt! – zaintonowałem niby po niemiecku, ale przecież w języku nie całkiem obcym, przynajmniej tu (bośmy w końcu rozmawiali w mieście po-nie-

mieckim), gdzie słowa te wciąż były dość powszechnie znane, jako pochodzące, jak można by dodać dla żartu, ze starego, ale wciąż niezapomnianego… „szlagieru z tamtych lat".

– Genau! – zgodził się ze mną Łukasz. I uśmiechnął się, wyraźnie zadowolony z tego, że tak dobrze się rozumiemy. Bo on przecież także… nie całkiem po niemiecku to powiedział, a przynajmniej nie tylko po niemiecku. Bo także to słowo było tu znane jako… tutejsze.

– Ale twoim chłopakom i dziewczynom z powstania – zgłosiłem wątpliwość, którą uznałem za zasadną – to nie wiem, czy tak całkiem spodobałaby się twoja… tutejsza polszczyzna.

– No, ale bo oni z samego środka tej polskości byli – zaczął tłumaczyć i jakby usprawiedliwiać, nie wiadomo jednak kogo bardziej, siebie czy ich. – To i nie dziwne, że mogli nie wiedzieć, jak ta polskość po brzegach może wyglądać. Wiadomo – warszawka! Niby tacy najmądrzejsi, bo ze stolycy, ale w niejednej sprawie… pojęcia o anungu nie mają.

– A potem się dziwić, że w Warszawie Ślązaków nie lubią… – westchnąłem.

– Ale ja przecież – Łukasz sprawy nie ułatwiał – też nie Ślonzok taki całkiem. Chociaż tu urodzony, to… no, jednak gorol – jakby raczej.

– No to skąd ty w końcu jesteś? – udałem kompletnie pogubionego.

– No właśnie: skąd? – powtórzył pytanie, jakby w ten sposób chciał podkreślić jego sensowność. – Może… z książek? A może i z wojny też, jakoś…? – niby zapytał, jakby nie miał odwagi stwierdzić tego stanowczo. A potem dodał, już nieco pewniej: – Polska mniejszość poniemiecka, może tak mógłbym siebie nazwać? I powojenna. – Popukał się w czoło. – Tylko kto – powiedział – powiedz mi, kto potraktowałby to poważnie, gotowy zastanowić się, co to naprawdę może znaczyć…?

– I o tym – zapytałem, udając, że spodziewam się, że zaprzeczy – też pisałeś… jej?

– No… – potwierdził, ale… jednak jakby zawstydzony. Jakby dopiero w tej chwili, gdy go o to zapytałem, zauważył, że to było… jednak-mało-mądre. A przynajmniej na takie mogło wyglądać teraz, gdy o tym mówiliśmy. – O tym też. Ale – dodał zaraz, jakby tytułem usprawiedliwienia – bo tutaj nie było nikogo, kto chciałby ze mną o tym rozmawiać, a już

szczególnie w ten sposób: bez nerwów, spokojnie i... jakby bez gotowej tezy. Bo jeśli już nawet trafił się ktoś, kto miał jakieś zdanie na ten temat, to miał je po to, żeby po kilku słowach rozmowy umieć poznać, czy można we mnie uznać sojusznika dla tej jego wersji prawdy, czy też... należy zidentyfikować mnie jako jej wroga – i z takim już nie patyczkować się w starciu słownym, tylko walić na odlew byle mocniej! A jej... mogłem o tym pisać. I...

– No, to ci powiem – powiedziałem pełen uznania, lecz nie dla niego bynajmniej – że musiała być biedna Lena... w dużej desperacji.

– Ale... – próbował protestować.

– Ale nic w tym złego, przecież! – przerwałem mu stanowczo. – To też się ludziom zdarza. I nie ma żadnego „ale". Tak bywa... Nawet częściej, niż gotowi jesteśmy to przyznać.

– Żebyś wiedział... – zgodził się ze mną. I widziałem, że nie tylko Lenę czy siebie miał w tej chwili na myśli. – Tak bywa...

W charakterystyczny sposób sięgnął po papierosa. A ja, który już zdążyłem poznać u niego ten gest, wiedziałem, że nie było to zwykłe zapalenie papierosa, ale znaczący znak interpunkcyjny: to, co powie za chwilę, wprawdzie będzie miało jakiś związek z tym, co powiedział wcześniej, ale – będzie już jakby o czymś innym... bardziej.

– Zobaczyłem, że jestem... interesujący – powiedział. – I że to, co myślę, może być ważne nie tylko dla mnie. Mimo wszystko, mimo tego, co tutaj dotąd tak mnie wkurzało, a naprawdę przede wszystkim bolało, gdzie w najlepszym razie traktowano z lekceważącym pobłażaniem całe to moje „dziwne gadanie nie wiadomo o czym i po co", nagle... ktoś chciał mnie słuchać. I był naprawdę ciekawy tego, co ja myślę. I nie chodzi o to, że mi się tak tylko wydawało. Ja – to czułem! Do żywego. Że... jestem lepszy, w końcu! Jako ja. – Strzepnął popiół z papierosa. – To znaczy: samopoczucie mi się poprawiło, na pewno! I niewątpliwie – że tak powiem.

„Wszyscy kłamią" – usłyszał kiedyś Łukasz od jednej z koleżanek (która wcześniej akurat umiała zdobyć się na prawdomówność w rozmowach z nim, kilka razy). – „Ale to bez znaczenia. Bo i tak nikt nikomu nie wierzy". I nie że uwierzył, ale – zapamiętał te słowa. A potem nieraz przekonywał się, jak bardzo są one, niestety – prawdziwe.

Aż pojawiła się w jego życiu Lena, która sprawiła, że nagle uwierzył... jakby na nowo – w to, że możliwe jest życie prawdomówne; albo że możliwe jest, aby takiego życia... zaznał. To było jak zesłanie Ducha Świętego – mógłby wtedy powiedzieć. Ale – nie powiedział tak. Bo po co od razu mieszać w te sprawy aż samego Boga – i na co takie gadanie: że niby to miałoby być śmieszne i dowcipne, tak? Chociaż... to mógł powiedzieć: – To było jak cud! – I mówił tak, faktycznie.

W tym świecie, gdzie trudno jest zdradzać, bo najpierw by trzeba uwierzyć – jak śpiewał kiedyś, bardzo dawno temu, bo jeszcze w stanie wojennym (i nielegalnie!), w swojej piosence taki jeden, którego Łukasz wtedy, czyli w czasach swojej najwcześniejszej młodości, słuchał nieraz i... widocznie polubił się wtedy z tymi piosenkami – bardzo; bo jeśli potrafił przypomnieć sobie ich słowa jeszcze dziś, po tylu latach... Ich autor nazywał się Kelus.

***

– Czyli co? – zagadnęła go, niby pytając i niby żartem, lecz nie po to, żeby zapytać, ale aby powiedzieć mu, że wie, jaka jest odpowiedź: – Teraz będziesz cudze rodziny rozwalał, tak?

Jakby Łukasz po pierwsze miał na to właśnie ochotę, a po drugie – jakby miał tyle mocy i siły w sobie, żeby naprawdę móc tego dokonać... samemu i w pojedynkę.

Ku własnemu zdziwieniu zauważył, że... wcale nie poczuł się obrażony tym oskarżeniem. Nawet mimo że...

– Żadnej rodziny nie da się rozbić od zewnętrz – powiedział spokojnie. – Każda psuje się i rozwala od środka.

– Dobra, dobra – odparła, prawie śmiejąc się przy tym. – To się tylko tak mówi, a bywa różnie.

Uśmiechnął się do niej, dziwnie tak jakoś, jakby... w ostatniej chwili wielkodusznie – jednak.

– Być może... – powiedział, jakby naprawdę się zawahał. I dodał, najłagodniej jak umiał: – Skoro tak mówisz...

Znali się nie od dziś i dlatego wiedzieli, że mogą pozwolić sobie na więcej – w rozmowie. Bo przecież wiedzieli o sobie nawzajem to, co najważniejsze: że żadne nie ma do drugiego jakichś zadawnionych żali, które mogłyby... popsuć rozmowę na każdy temat. Czyli że nikt tutaj nie kieruje się złą wolą. Dlatego i ona także odpowiedziała na to łagodnie: – No tak...

Może rzeczywiście, trochę za bardzo… – Po czym jednak jakby zatrzymała się nagle w swoim odwrocie i twardo stanęła do walki o słuszną sprawę, gotowa bronić swego zdania, w imię prawdy i bez oglądania się na korzyści prywatne! – Ale taka prawda! Rozwalanie rodzin to nic dobrego – dla nikogo!

Zresztą, tak całkiem ściśle, to ona też przecież żadnej rodziny nie rozwaliła. Chociaż… może miała taki plan, ale nawet jeśli, to też nie wiadomo, czy „od razu", czy dopiero wtedy, gdy okazało się, że jest w ciąży. Tak czy owak, do żadnego definitywnego rozbicia rodziny nie doszło – którego to dzieła ona byłaby jedynym i wszechmocnym stwórcą – choć faktycznie, pokomplikowały się sprawy i tu, i tam – po obu stronach tej „afery".

– No, ale przecież… ludzie się rozwodzą – powiedział. – Zdarza się. Chociaż czasem, przyznaję, może z nie najlepszym skutkiem. Bo tylko po to, żeby… natychmiast gdzie indziej i inaczej, ich zdaniem lepiej i mądrzej, oczywiście, i z kim innym… się związać, jak to się mówi, prawda? A ja myślę, że rozwodzić się po to, żeby się zaraz żenić znów – to głupota. Żeby nie nazwać tego jeszcze gorzej, prawda? – Uśmiechnął się, żeby to, co powiedział, nie zabrzmiało zbyt poważnie. – Zresztą – dodał po chwili – można by jeszcze inaczej to powiedzieć: że prawdziwe rodziny są na to odporne, a jeśli jakiejś to się zdarzy, to znaczy tylko tyle, że widocznie nie była to rodzina… wystarczająco prawdziwa.

– No, ale to już jest filozofia. Weź, przestań…

Dobrze im się rozmawiało.

– No – przyznał, jakby złapany na rzeczywistym wykroczeniu lub co najmniej zagraniu nie całkiem uczciwym – może i filozofia… Ale – rozłożył bezradnie ręce, jakby na to, co się stało, nie miał wpływu i jakby to „coś" stało się samo, tak jakoś i… bez pytania – przy każdym temacie, gdy tylko zacząć w nim kopać choć trochę głębiej, czyli, innymi słowy, gdy choć trochę zacznie się go zgłębiać, trafi się na to prędzej czy później, co raczyłaś nazwać „filozofią". No, chyba żeby… wcale nie zgłębiać, ani trochę i bez gadania. Czyli powiedzieć swoje i cześć: sprawa załatwiona! – Puścił do niej oko. – I nie rozwodzić się nad tym za długo, czyli… bez sensu. Tak?

– Bo tu żyć trzeba, a nie gadać! – powiedziała nie bez racji.

– Powiedziałaś – zauważył. – Ale jakby tak tylko o to, żeby żyć, chodziło, a nie gadać, to... po co by nam to było: że umiemy mówić – a przynajmniej tak nam się zdaje: że umiemy?

– No – wzniosła oczy ku niebu – i znowu filozofia!

– No – udał także zmartwionego – życie jest pełne niebezpieczeństw. Jak nie grypa, to – filozofia. I nie wie człowiek, kiedy jakie nieszczęście go dopadnie...

– Ale rodzinę i tak rozwalasz – podsumowała. – Co byś nie powiedział, tak jest.

– A skoro już i tak wdepnęliśmy w filozofię – on jej na to – to niech mi wolno będzie powiedzieć, nie wiem, czy na pewno na temat, że Sokratesowi najbardziej za złe mieli to, że „robił z ludzi głupków". I to ich najbardziej wkurzało, w tym co robił. A tymczasem on z nikogo głupka nie r o b i ł w tym sensie, żeby faktycznie i naprawdę zamieniał kogoś mądrego w głupka, lecz jedynie – w rozmowie właśnie – pokazywał, że ten, kto samego siebie miał za mądrego, a może i inni za takiego go uważali, naprawdę wcale mądry nie jest, i dlatego właśnie, nie będąc mądrym a za mądrego się uważając, jest... głupi.

– No, rzeczywiście! – roześmiała się. – To chyba nie było na temat. A przynajmniej... mało. I słabo.

– Ale troszeczkę... – zapytał, jakby coś jednak próbował od niej wytargować – może jednak tak? Taką choćby małą, ale troszeczkę... – co?

– I nic ci z tego dobrego nie przyjdzie! – zawyrokowała.

– A to akurat – powiedział – wiem: że to bardzo możliwe, niestety. – I powiedział to bardzo poważnie. I powtórzył: – Bardzo możliwe, niestety... Chociaż – dodał natychmiast – wierz mi: tego akurat... wolałbym nie wiedzieć!

– Ale mówisz, że wiesz! No to po co się w to pakujesz?

– Bo nie umiem nie? – odpowiedział. – Zresztą – westchnął – tu akurat... mogłabyś mnie zrozumieć.

– No właśnie dlatego, że r o z u m i e m – bo sama podobnie się wpakowałam, głupio i bez szans – mówię: po co się w to pakujesz! Ale z drugiej strony równocześnie wiem: mogę sobie gadać... jak do ściany. – I wydawało się, że to było wszystko, co miała w tej sprawie do powiedzenia. Po chwili jednak dodała, trochę ciszej, jakby nie chciała powiedzieć tego całkiem na głos: – Ale tego – i tutaj może się zdziwisz – trochę ci... jednak zazdroszczę.

– Powstańcy warszawscy – jakby zmienił nagle temat – choć przeżyli piekło i nic na tym nie wygrali, potem do końca życia często byli zdania, że akurat to, ta ich walka, której w końcu nie wygrali, a na pewno nie tak, jak sobie to planowali, to był najpiękniejszy okres w ich życiu.

– Ale tylko ci, którzy… przeżyli – zauważyła przytomnie. – A ilu było takich, co nie przeżyli i jako tacy potem… nie mogli tego wspominać – w żaden sposób?

– I tego właśnie potrzebowałem! – Udał zadowolonego. – Kilku słów wsparcia. Dzięki wielkie!

– Proszę uprzejmie! – Udała uprzejmą.

Dobrze im się rozmawiało. Chociaż – może właśnie dlatego, że tak dobrze – Łukasz poczuł potem jakiś niedosyt. Bo przecież mogło być jeszcze lepiej – albo bardziej. Gdyby na przykład zapytała go wtedy o jego rozwód: – A ty, jak ci się wydaje, przeżyłeś to… cały? Wyszedłeś z tego żywy – całkiem?

Ale o to (i w taki sposób!) nikt go nie spytał – nigdy. A on sam – też o tym nie mówił z nikim. I nawet sam ze sobą – już od dawna o tym nie rozmawiał. To był temat jakby niepotrzebny nikomu.

A jeśli spotykał potem kogoś nowego na drodze swego życia, kto pytał go o to, czy był kiedyś żonaty, a gdy dowiadywał się, że tak, to pytał dalej: „A dlaczego się rozwiodłeś?", miał Łukasz na to przygotowaną odpowiedź, krótką i stanowczą, żeby tematu nie rozwijać: „Bo okazałem się nierentowny". – Co zresztą było prawdą. A przynajmniej znaczącą jej częścią.

Niby inaczej podszedł do tematu inny kolega Łukasza. Ale – co Łukasz szybko zauważył – tylko pozornie było to inne podejście, w istocie jednak nie różniło się wcale od tego, jak do „sprawy Łukasza" podeszła wcześniej jego koleżanka: bardzo osobiście i z własnego punktu widzenia.

– A ja, wiesz co bym zrobił – zapytał Łukasza, a pytanie było aż nazbyt retoryczne – na miejscu… jej męża? Bym, kurwa, wystawił jej walizki za drzwi i „wypierdalaj"! Tak, kurwa, bym zrobił. Bo tak należy takie sprawy załatwiać! – I choć miał w zwyczaju przeklinać dużo, widać było, że tym razem ma do tego jakby szczególnie ważne powody, ważniejsze niż w innych sprawach. Bo przeplatał swoje wypowiedzi zawsze z tego samego powodu: bezsilnej wściekłości na to, co odczuwał jako przyczynę swojej własnej krzywdy, na którą oczywi-

ście, kurwa!, nie zasłużył ani trochę. – I chuj! – dodał jeszcze, jakby dla pewności.

A Łukasz, który chciał koledze opowiedzieć o sobie – bo uznał, że jemu może i chce o tym opowiedzieć – nawet nie poczuł się dotknięty, chociaż niby mógłby, za to, że ten tak łatwo (i surowo – oraz bezapelacyjnie!) ocenia kogoś, o kim... wie tak mało, prawie nic. Ale trochę smutno – mu się jednak zrobiło. Mimo to... uśmiechnął się.

– O'kej – powiedział, jakby zgadzał się z tym, co kolega właśnie zrobił i załatwił. – Czyli... swoje sprawy już pozałatwiałeś, tak? – I znowu się uśmiechnął. – Miło mi, że mogłem pomóc.

– Oj, bo kurwa... – z kolegi też jakby uszło powietrze – wiesz sam, jak jest.

Tak, Łukasz wiedział. Ale nie o tym przecież chciał mówić. Nie chciał, żeby znowu o tym było całe gadanie: że żona kolegi to jednak... nie-fajnie go traktuje, i że dla niej to tylko praca i praca, karierę chce robić, a do tego jeszcze wiecznie nic jej się nie podoba, zwyczajnie życiem nie umie się cieszyć, a jak już jest w domu, to też... tylko o pracy gada i jest tak, jakby tak naprawdę nigdy z niej nie wychodziła. A tu dzieci są i je, kurwa, wypadałoby wychowywać – też!

I naprawdę (co nawet jego samego zaskoczyło) Łukaszowi zrobiło się, mimo wszystko, jakby miło, że, jak to powiedział, „mógł pomóc". Bo kolega znowu mógł w kogoś innego wystrzelać całą nagromadzoną w sobie złość, oszczędzając w ten sposób, jak to zresztą zdarzało mu się wcześniej już nieraz, ukochaną żonę. Bo on ją kochał – i na tym właśnie polegał jego kłopot. I Łukasz to wiedział, a nawet więcej – widział! Na własne oczy.

– Albo tylko nie umiał bez niej żyć. Lub nie umiał sobie wyobrazić, że umiałby...?

Lenie w każdym razie, gdy do niej pisał, Łukasz nie wspomniał o tym ani słowem: żeby nie było jej przykro – że tak źle ktoś o niej powiedział (bo przecież – nie mówił o niej, tak naprawdę; ale żeby jej to wytłumaczyć, trzeba by dużo opowiadać, a i tak nie wiadomo, czy na koniec Lena... umiałaby to zrozumieć jak należy).

Tak samo jak nie opowiedział jej także o tym, jak na jego opowieść o niej – gdzie entuzjazmu i optymizmu było aż nadto, jak w opowieści nastolatka, i na pewno więcej niż roz-

sądku i trzeźwego rozumowania – zareagowała jeszcze inna koleżanka. To była jego znajoma jeszcze z czasów licealnych i dlatego jej opowiadał to jak staremu kumplowi, czyli – i na tym zapewne polegał jego błąd! – nie biorąc wcale pod uwagę, że ma do czynienia z dorosłą kobietą, która (o czym wiedział przecież), choć trochę już żyła na tym świecie i nawet jakieś sukcesy, choć raczej tylko finansowe, w tym życiu udało jej się zaliczyć, to szczęścia w miłości – za wiele dotąd nie zaznała; bo „tak jakoś wyszło". Otóż ona, słuchając pieśni Łukasza o miłości, nagle... rozpłakała się – nie wiadomo dlaczego. A potem wpadła w regularną histerię, gdzie tyle samo było szlochu co krzyku. Było okropnie!

I było tak, jakby to była jego wina! Bo to przecież on jej opowiedział o tym, co mu się przydarzyło, a co jemu wydawało się dobre, a nawet jeszcze lepsze, gdy ona... czuła się źle, a nawet jeszcze gorzej – „tak w ogóle". Bo jej coś takiego – się nie przydarzyło. Przeciwnie: już prawie – w końcu! – udało jej się kogoś mieć, tak że już nawet o ślubie mogła myśleć, ale w ostatniej chwili... facet po prostu zwiał, a nawet gorzej: innej dał się złapać. A tu, jakby tego było mało, przychodzi jeszcze Łukasz i pieje z zachwytu, że „trafiło mu się trochę szczęścia – wreszcie; i że warto, na pewno warto – nawet choćby to miało trwać tylko piętnaście minut". No, tak się przecież nie robi! A on jej to zrobił – takie świństwo!

– I to była pierwsza, można powiedzieć, poważniejsza ofiara tej miłości – powiedział Łukasz. Uśmiechał się przy tym jakby niepewnie, jakby sam tego nie wiedział na pewno: poważnie to mówi, czy żartuje? – Przypadkowa i wcale nie chciana jakoś specjalnie. I oczywiście niewinna. Ale, jak to na wojnie – takich jest przecież zawsze trochę, albo i najwięcej nawet: całkiem nie-potrzebnych.

– Pierwsza ofiara – dodałem – nie licząc Leny i ciebie.

– Ale to całkiem inna sprawa! – Machnął lekceważąco ręką, jakby w tej chwili nie o tym chciał mówić. – Bo przecież „volenti non fit iniuria", jak to mówią, żeby zabrzmiało mądrzej. Chcącemu nie dzieje się krzywda.

– Volentem fata ducunt, nolentem trahunt – dodałem, jakby w uzupełnieniu.

– Że co? – spytał Łukasz. – Bo to, to... nie wiem: co to znaczy?

– Chcącego los prowadzi, nie-chcącego wlecze…

– No, tak… – pokiwał głową na znak, ze chyba dobrze to zrozumiał. – Coś w tym jest… może.

– „Ale to całkiem inna sprawa" – zacytowałem słowa Łukasza. Nie o tym chciał przecież mówić. – Bo nie o tym zacząłeś mówić…

– To nie było fajne – prawie wyszeptał. – Nawet bardzo nie-fajne. I chyba tak samo dla niej, jak dla mnie. Jakby wściekła się głodna na sytego. Chociaż ten syty wcale aż tak najedzony nie był, ale – dostał właśnie obietnicę wielkiej uczty: nadzieję! A głodna z kolei też aż tak bardzo nie-dożywiona nie była, ale – na wielką ucztę, na którą miała już smaka i którą już jej obiecano, a przynajmniej ona sama tak mogła o tym myślała, że „ma to już obiecane, prawie pewne", nagle odebrano jej bilet wstępu… A już było tak blisko, jak mogło jej się zdawać, już jej wielki tort obiecano, już prawie na stół go wniesiono, a w ostatniej chwili – nic!

– No, to rzeczywiście – nie-fajnie…

– Ale – zaprotestował głośno – powiedz: czy to moja wina! Przecież nie ja jej ten tort obiecywałem, więc… czemu ja potem za to po łbie dostałem?

– Bo znalazłeś się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie… – zacząłem tłumaczyć spokojnie, jak dziecku. – A na dodatek jeszcze… z absolutnie niewłaściwym tekstem i w karygodnie niewłaściwym nastroju: pełen nadziei i chęci do życia, radosny i cały głupi ze szczęścia!

– Ale…

– Ale ja się z tobą zgadzam! – nie dopuściłem go do słowa. – Stałeś się ofiarą nie-potrzebną. I co z tego że niewinną: ofiara jest ofiarą! I padło akurat na ciebie, bo… nie było nikogo innego pod ręką?

– No, to prawda – nie było. Raczej… chyba.

– Wnioski…? – zapytałem jak nauczyciel w szkole.

– Nie-fajne! – odpowiedział. – Bardzo nie-fajne! Że nie chcę, aby coś takiego się powtórzyło i dlatego… życzę jej jak najszybciej kolejnej nadziei, choćby najgłupszej. Bo tylko wtedy… nie będzie się na mnie drzeć: za nic! A póki co, póki to się nie stanie – może najlepiej jej… po prostu unikać.

– Mało odważne to, trzeba przyznać…

– A kto powiedział, że ja jestem lub muszę być aż tak odważny!

– No, fakt: nikt!

– Bo też naprawdę mnie wkurzyła tym, co mi zafundowała. I też się wściekłem, chociaż trochę później. Ale przy okazji, też nie od razu, po jakimś czasie, ale jednak – coś mi, choć chyba nie wiedząc o tym, pomogła zrozumieć. To mianowicie, że miłość jest darem w istocie swojej nie-zasłużonym. A przynajmniej tak powinniśmy ją też umieć rozumieć. Czyli że jeśli ktoś mnie kocha, to nie dlatego, że ja aż taki jestem świetny i ta miłość mi się zwyczajnie należy, ale dlatego, że ten ktoś – akurat mnie tą miłością obdarował, a nie kogoś innego.

– To twoja samoocena chyba nie za fajnie poczuła się przy tym zrozumieniu. I raczej się nie zakolegowali – ona i to zrozumienie…

– I tu się zdziwisz! – prawie wykrzyknął z radości. – A przynajmniej ja się bardzo zdziwiłem. Bo jeśli to prawda, że miłość jest darem, to działa to przecież w obie strony. I moja samoocena, jak to nazwałeś, właśnie mi to działanie w drugą stronę pokazała, w ramach, można powiedzieć, całkiem niegłupiej samoobrony. Czyli ja sam – to zobaczyłem. Że jeśli ja kogoś kocham, to też nie dlatego, a już na pewno nie tylko dlatego, że temu komuś aż tak to kochanie obiektywnie się należy, a ja oddając mu je działam w ten sposób tylko jako „skutek spowodowany przez przyczynę", ale dlatego, że daję mu to – bo chcę. Każdy może kochać, kogo chce. – Tu Łukasz przerwał na moment, zanim przeszedł do puenty. – Ale potem, w razie czego, niech nie narzeka, ani nie wścieka się… na innych. Jeśli okaże się, że głupio chciał. Bo „volenti non fit iniuria" – chcącemu nie dzieje się krzywda. I niech nie obwinia potem innych, niewinnych ludzi, za to, że go „oszukano", a ich – może nie. Że on miał pecha, a oni – może nie.

– Teoretycznie, to wszystko dobrze wygląda… – przyznałem rację temu, co mówił.

– Teoretycznie, to ty jesteś inteligentny! – roześmiał się. – Tak mi koleżanka na studiach kiedyś powiedziała. I na tym właśnie polega cały kłopot! Że teoretycznie, to wszystko dobrze wygląda, ale w życiu, wiadomo, jak to w życiu – różnie bywa.

– I nie za mądrze, często. To prawda. I tak się zdarza. Albo nawet całkiem bezmyślnie i – nic w tym złego! Bo to jest życie – właśnie. Gdyby się człowiek przed każdym swoim krokiem, albo nawet słowem, miał porządnie zastanowić, i wszystkie „za" i „przeciw" wziąć pod uwagę i słusznie rozsą-

dzić, czy to na pewno na dobre mu wyjdzie, to… może nigdy nie ruszyłby z miejsca.

– Ale jeśli nie przed, to może przynajmniej po – zaproponował Łukasz. – I nawet jeśli nie zawsze, to… przynajmniej czasami, co?

– Ale kogo o to pytasz? – zapytałem. – Mnie, czy… ja tu tylko za świadka mam robić – waszych rozmów: między tobą a – tobą?

– No, właśnie, chyba tak… ogólnie raczej pytam. I może specjalnie właśnie tak: nie za osobiście… Ale – uniósł palec ku górze, na znak, że to, co teraz powie, też jest bardzo ważne – to nie znaczy, żeby wobec każdego, kto głupio wybrał, a potem dostał w dupę, wzruszać ramionami i kwitować całą sprawę niby takim mądrym stwierdzeniem: „Ale co chcesz – to był jego wybór". Nie cierpię tego powiedzenia. Bo kto z nas, wybierając, wie do końca, co naprawdę wybiera? I tego, który tą mądrością – „Ale co chcesz, to był jego wybór" – próbują uznać za nieważne każde nieszczęście lub pecha, o ile oczywiście dotyczy to innych, też raczej z trudem toleruję. Bo gdy okazuje się nagle, że „los go doświadczył", albo że „ludzie go oszukali", o sobie samym wtedy taki nie mówi równie spokojnie i mądrze: – „Ale co ja chcę, to był mój wybór". Nie, wtedy jakoś umie znaleźć w sobie całą kupę empatii. I więcej jeszcze – od innych też tego wymaga. Bo mu się to przecież należy. Bo mu się krzywda stała – nie z jego winy. Co zresztą może być prawdą – skądinąd…

– Cały czas mówisz o tej samej koleżance? – spytałem. – Która stała się kobietą, a ty nie raczyłeś tego ani zauważyć, ani tym bardziej wziąć pod uwagę i potraktowałeś ją jak… jak zwykłego kumpla – bezpłciowo, że tak powiem?

Uśmiechnął się niby grzecznie i tak samo niby grzecznie spróbował odpowiedzieć.

– Powiedzmy może – powiedział – że… tak bardziej ogólnie mówię. I niekoniecznie o kimś konkretnym, co?

– I może właśnie to cię najbardziej w niej wkurzyło – zaproponowałem. – Że domagała się dla siebie tego, czego innym… wcześniej odmówiła, w imię wyrozumiałego szacunku dla ludzkiej wolności wyboru.

– Ale o kim mowa? – Udał głupiego.

– O nikim konkretnym. – Też udałem, że nie wiem, o kim mówimy. – Tak bardziej ogólnie mówię: o człowieku – niektórym, pewnego razu…

– No… – uśmiechnął się kwaśno. – Właśnie jego miałem na myśli, tak ogólnie i konkretnie. I powiem ci, trochę zraziłem się do niego…

– No to w końcu kto był tu „poważniejszą ofiarą", jak to nazwałeś? – udałem zdumionego. – Ona czy ty?

– Ona – odpowiedział bez wahania. – Bo mnie to tylko wkurzyło, a ją – naprawdę zabolało. Niestety. Naprawdę. Ból, nawet jeśli pojawił się bez przyczyny, był prawdziwym bólem. I to ja, choć tego nie chciałem ani trochę, jej ten ból zadałem.

– A wariaci naprawdę są Napoleonami.

– Żebyś wiedział.

– Czyli to twoja wina była, jednak. Ale jeśli ty jesteś winien, to Lena – też. W dwójkę żeście to, można powiedzieć, zrobili. Jej na złość.

– I obawiam się, że to właśnie mógł jej ten ból podpowiedzieć… I wiesz co? Chociaż to może wyglądać na śmieszne, mi jakoś nie chce się z tego śmiać. Bo ona naprawdę się rozpłakała. A już dawno minął ten czas, że mógłbym uznać to za dowód, wprawdzie nie wprost i jakby na opak, ale mimo to jednak jakiś, na to, jaki ja jestem świetny – widocznie i „tak w ogóle". Bo choć może nie dorosłem jak należy, to jednak takim całkiem gówniarzem – też już nie jestem. Ani, jak mi się wydaje – dodał takim tonem, jakby nie stwierdzał, lecz jakby dopiero mnie prosił o to, żebym mu to potwierdził – zwykłą świnią, co by się pasła tylko na czyjejś krzywdzie…

I wydawało się, że więcej na ten temat już nie chce mówić. Uśmiechał się tylko – jakby pytająco. W końcu jednak odezwał się. Czyli widocznie coś jeszcze miał do dodania – i dodał.

– A zresztą… – powiedział tonem wyraźnie lekceważącym, jakby w ten sposób chciał na koniec pozbawić całą sprawę większego znaczenia – ta cała akcja to była dopiero później, nie od razu. Bo to się stało dopiero po tym, jak już się zobaczyliśmy – latem. Z Leną, znaczy się. A wcześniej, to ona, ta moja znajoma, znaczy się… jeszcze miała kogoś, a przynajmniej tak mogła myśleć. Albo i nie miała, ale myślała, że aż tak bardzo go wcale nie potrzebuje. W każdym razie na cały świat wokół siebie umiała wtedy patrzeć jakby z większą… no, życzliwością prawie. Lub przynajmniej zdrową ironią, która nawet jeśli niewesoła, nie ma w sobie złości: „Wiadomo – życie…"